№ 3. Warszawa, dnia 16 (4) Stycznia 1886 r. Rok VI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

NIETRUDNA ZAGADKA.

Barykady w Berlinie, rozruchy w kraju i wstrząśnienia w Europie doradziły królowi pruskiemu 1848 r. wielką łagodność i skłonność do ustępstw. Nietylko więc poczuł on nagle silne upodobania konstytucyjne, ale nawet obiecał uwzględnić życzenia swych polskich poddanych. Kiedy przybyła do Berlina deputacya poznańska, Fryderyk Wilhelm, przyjął ją łaskawie i polecił utworzyć komisyę mieszaną dla ułożenia wniosków do tronu. Na miejsce ruchu wysłany został generał Willisen, który—jak głoszono—„zobowiązał się w imieniu króla zreorganizować Księstwo poznańskie na zasadach polskich, wykluczyć wszystkich niemców z organizacyi wojskowej i utworzyć korpus wyłącznie narodowy." Wkrótce jednak spotwarzony winami, których nie popełnił, dążąc tylko do uśmierzenia gorączki i rozbrojenia zbuntowanych, obdarzony niełaską monarchy, który ochłonął z trwogi, Willisen wrócił do Berlina i ustąpił swej roli gen. Pfuelowi.

Kiedy się to działo, siedział sobie na Pomorzu nieznany szlachcic, który oburzony zapałem berlińczyków dla uwięzionych polaków oraz łagodnością gen. Willisena, napisał do redakcyi *Magdeb. Zeitung* list pełen gorzkich żalów. Owym szlachcicem był Otto v. Bismark—a jego epistołę czytamy obecnie przedrukowaną ze wspomnianej gazety we wszystkich dziennikach.

„Uwolnienie polaków, oskarżonych o zdradę stanu—pisze on 20 kwietnia 1848 r.—oto jedna ze zdobyczy berlińskiej walki marcowej—zdobyczy najistotniejszych, gdyż konstytucya, wolność prasy i środki zjednoczenia Niemiec były już przed wybuchem zapewnione.

Berlińczycy uwolnili polaków krwią swoją, a następnie ciągnęli ich własnemi rękami w tryumfie przez miasto; wywdzięczając się za to, stanęli wyswobodzeni niezadługo na czele band, które nawiedziły niemieckich poddanych pruskiej prowincyi mordem i łupiestwem, zabijaniem i barbarzyńskiem kaleczeniem niewiast i dzieci! Tak to entuzyazm niemiecki na własną szkodę wyciągał znowu obce kasztany z ognia! Umiałbym sobie to wytłomaczyć, gdyby pierwszy zapał niemieckiej siły i popęd do jedności zwrócił się był przeciw Francyi i zażądał od niej zwrotu Alzacyi i Lotaryngii, aby na wieży katedry strasburskiej zatknąć chorągiew niemiecką; ale doprawdy jest to czemś więcej, niż dobrodusznością, gdy naśladując rycerskość bohaterów romansowych, przedewszystkiem zapalamy się do tego, aby niemieckim państwom wydzierano resztki tego, co niemiecki oręż przez wieki całe zdobył we Włoszech i w Polsce. To chcianoby z radosnym okrzykiem rozdarować dla urzeczywistnienia fantastycznej teoryi, która nas doprowadzić musi do tego, że z naszych południowo-wschodnich ziem granicznych w Styryi i Iliryi będziemy musieli utworzyć nowe państwo słowiańskie, że Tyrol włoski oddamy Wenecyi, a z Morawii i Czech aż w głąb Niemiec utworzymy niezależne od nas państwo czeskie.

Narodowy rozwój polskiego żywiołu w Poznańskiem nie może mieć innego rozsądnego celu nad ten, że służyć będzie jako przygotowanie do urzeczywistnienia wiadomych marzeń—wtedy przecięłoby najlepsze ścięgna Prus, a miliony niemców oddano na łup samowoli polaków, aby przez to zyskać niepewnego sprzymierzeńca, który namiętnie czyhałby na każdy kłopot Niemiec i usiłował odebrać Prusy wschodnie, Szląsk polski i polskie dzielnice na Pomorzu.

Z drugiej strony może istnieje zamiar skromniejszy. W takim razie tylko ten, kto polaków wcale nie zna, może wątpić o tem, że zostaliby oni nieubłaganymi wrogami naszymi, dopóki by na nas nie zdobyli ujścia Wisły, a następnie każdej polskiej wsi w Prusach Wschodnich i Zachodnich, na Pomorzu i na Szląsku.

Jak może niemiec dla czułostkowych i niepraktycznych sympatyj i teoryj zapalać się do tego, żeby w pobliżu ojczyzny swojej stworzyć niezmordowanego wroga, który ciągle będzie usiłował gorączkowy niepokój wewnętrzny ostudzać za pomocą wojen i przy każdem zawikłaniu na zachodzie na nas z tyłu napadać! Ten wróg

będzie i musiałby być daleko chciwszym zdobyczy na naszych wschodnich granicach, aniżeli Rosya.

Dla tego dzisiejszą naszą politykę co do Poznańskiego, choćbyśmy tam każdego niemca ubezpieczyli dla związku niemieckiego, choćbyśmy tam tylko drobną część kraju odstąpili—uważam za największego pożałowania godną donkiszoteryę, jakiej kiedykolwiek dopuściło się państwo na szkodę własną i na szkodę swych poddanych. Rząd powierzył uregulowanie tej sprawy człowiekowi, sprzyjającemu więcej polakom, aniżeli niemcom, którego postępowanie wznieca w armii oburzenie, w kraju nieufność, którego słabość wieńczy i uświęca uchybienia popełnione w tej sprawie. Ostatnie pompatyczne oświadczenie tego komisarza, który się przechwala, że dzięki staraniom zdołał załatwić tę kwestyę na drodze pokojowej, ukazało się w dziennikach równocześnie z zażaleniami władz i osób prywatnych, które ciągle mówią o zabójstwach i rabunku, dokonywanym na niemcach, i o orężnych starciach z wojskiem. Czyż odpowiedzialne ministerstwo króla wobec narodowego zgromadzenia przyjmie odpowiedzialność za to wszystko, co p. Willisen w Poznaniu uczynił i co uczynić zaniedbał, jako też za cały dotychczasowy kierunek naszej polskiej polityki? Byłoby zresztą rzeczą nader ważną przyjść do jasnego przekonania, czy w Prusach mają jeszcze jakieś znaczenie te same zasady prawne, które zastosowano w zeszłym roku w polskim procesie przeciw obwinionym?"

W całym tym liście nie znajdujemy nic nowego, nad to, co widzieliśmy i słyszeliśmy przez 30 kilka lat po nim idących. Nie jest nawet dla nas zagadkową pobudka, która owo pismo, naturalnie za zgodą kanclerza, na widok publiczny wypchnęła. Przed rozpoczęciem się obrad sejmowych, które znowu wywiodą sprawę wydalenia polaków przed trybunał opinii, należało „kamieniem piekielnym" napiętnować tych buntowników, należało przypomnieć zmarnowaną „krew berlińską," należało drakońskiemu edyktowi dorobić rodowód historyczny i uzasadnić go w przeszłości. Ks. Bismark w tym procesie wyciąga wszelkie argumenty na swoją obronę. Do tyla zaślepionym nie jest, ażeby nie dostrzegał, że wypędzenie kilkudziesięciu tysięcy niewinnych ludzi przyjęto w kraju z niechęcią. Oto znowu znakomity prawnik L. Bar wystąpił w tygodniku postępowym *Die Nation* z surową dla rządu pruskiego naganą. Bar przepowiada, że inne państwa, prędzej czy później, użyją tego samego środka względem niemców z takąż samą dobrą racyą.

Ks. Bismark wszystko to czyta i—broni się. Tak, on w tej sprawie raczej broni się, niż napada. Szarpie go prasa niemiecka, szarpie zagraniczna, oskarżają uchwały zgromadzeń—a do tego wszystkiego niedługo dwa sejmy zaczną ostrzeliwać. W takich opałach można ogłaszać listy z 1848 r.

Z RUSI GALICYJSKIEJ.

Lwów, 10 stycznia 1886.

Ks. biskup Pełesz, jego mowa w sejmie lwowskim i jego instalacya.

Najważniejszym faktem ubiegłego tygodnia jest bez wątpienia trzydniowa rozprawa nad wnioskiem p. Romańczuka, a właściwie udział w niej ks. biskupa Pełesza. Rozprawa ta, której pozoru dostarczył znany wniosek o języku wykładowym w szkołach galicyjskich, a której właściwą osnową był cały międzynarodowy stosunek rusinów z polakami, należy do najciekawszych ustępów w historyi sejmu galicyjskiego, wystąpienie zaś ks. Pełesza i zwrot w usposobieniu większości polskiej dokonany pod wpływem jego mowy—może do najpiękniejszych kart tej historyi.

Dwadzieścia lat minęło, odkąd w tym samym lwowskim sejmie hr. Leszek Borkowski wyrzekł pamiętne słowa: „Niema Rusi;" obecne obrady miały pokazać z jednej strony, czy i czego społeczeństwo polskie nauczyło się przez lat 20, z drugiej zaś czy i o ile sprawa rusińska pracą samych rusinów dojrzała, wzmocniła się i postąpiła naprzód. Egzamin wypadł zadawalniająco. Prawda, pomiędzy polakami znalazły się dwie „zamarynowane głowy," które ośmieliły się powtórzyć dawne hasło p. Borkowskiego—niejaki p. Torosiewicz, który mowę swoją rozpoczął charakterystycznemi słowy: „Panowie, znacie mię, że od dwudziestu lat siedzę w tym sejmie i nic nie gadałem, ale teraz już doprawdy nie mogę wytrzymać," drugi p. Golejewski, który niekiedy mianuje się rusinem, a obecnie wyrzekł spokojnie wielkie słowo: „ja tu właściwie żadnej Rusi nie widzę." Znaleźli się—mówię—ludzie, którzy dobitnie pokazali, iż od lat 20 niczego się nie nauczyli a dużo zapomnieli, lecz jakże mizerną rolę odegrali obecnie. Ogół posłów, który w r. 1865 przyklaskiwał „świetnej" przemowie hr. Borkowskiego, teraz albo milczał ponuro przy wybrykach pp. Torosiewicza i Golejewskiego, albo też—o zgrozo!—domagał się od prezydyum, by ich zawezwać do porządku! A gdy później ze strony rusinów i polaków demokratów posypał się na ich biedne głowy cały grad oburzeń i wyrzutów, nie dopuszczono ich nawet do głosu dla jakiejkolwiek obrony! Rzecz oczywista, że większość sejmujących widzi i czuje obecnie Ruś tam, gdzie jej przed laty dwudziestu nie czuła i nie widziała, że kwestya rusińska nie jest już żadnym upiorem, strasznym przez swą niewidzialność i tajemniczą moc szkodzenia i burzenia, lecz stała się wyrazem świadomych, jawnych dążności narodu, któremu nie można zaprzeczyć prawa do postępu i rozwoju na rodzimej niwie już chociażby dla tego, że sam własną siłą zdobył sobie to pole, sam też zaczął stawiać na niem pierwsze, może nie dojrzałe jeszcze, lecz bądź co bądź, wyraźne kroki.

Mimo jednak tego pocieszającego zwrotu w opinii publicznej polskiej, który zresztą po za sejmem przejawia się niemniej wybitnie, rozprawa nad wnioskiem Romańczuka i tym razem groziła bezpłodną gadaniną bez większej doniosłości, zwłaszcza że ze strony rusińskiej pomimo obszernych przemówień p. Kaczały i Romańczuka nie wyrzeczono niczego na tle zasadniczego i pozytywnego zarazem, ażeby nastroić umysły na wyższy nieco kamerton i przełamać lody wzajemnej nieufności. Przeciwnie, z przemówień rusińskich posłów wiało bardzo wyraźne rozdrażnienie, może naturalne wobec wystąpienia wspomnianych panów, lecz wcale nie polityczne. Dopiero ks. Pełesz wskazał grunt, na którym wspólnie stać mogą polacy i rusini w Austryi: wierność dla państwa i dla kościoła katolickiego. Osobliwie wygłoszenie godła katolickiego (czego ks. Pełesz dokonał nie bez pewnego logicznego *saltoz mortale*) jako podstawy dla szerokiego programu narodowego rusińskiego, wielce podobało się większości sejmowej; czy i o ile program narodowy rusiński można utożsamiać z czysto katolickim, w to nikt niwchodził. Ważnem tutaj było przedewszys

---

2)

POWIEŚĆ.

ZA TRZYDZIESTOLETNIĄ PRACĘ.

Koledzy — różne ku niemu uczucia żywili. Chciwy i chytry, kilkorgiem dzieci obdarzony przez swą małżonkę Samotya łasił się do niego w oczy, a za oczy „psy wieszał." Odmawiał mu zdolności zrobienia majątku, do upodobań zaś jego w ozdabianiu „łosiej knieï" robił przytyki złośliwe, lisie.

— Żurba wkrótce zacznie prosić księcia o politurę do płotu...

— Aha, tak, Gaudenty! A jakże! — dopomagał mu wtedy Ciszkiewicz — ledwie nie widać, jak zapragnie dywanów książęcych na ściany! Chi, chi, chi!..

Dubiński, cały dyszący nienawiścią ku chamom, syn ekonoma, zdolny aż do upodlenia względem innym, czując wyższość moralną Żurby i widząc o względach dlań zwierzchnika, trzymał się go. Jeden tylko Kłokocki, dobry chłopiec, hardy i serdeczny, żył z nim w przyjaźni. Podwładnych sobie strożów niechętnie i w ostatecznym tylko razie łajał. Tak samo, jak Żurba, otrzymał średnie wykształcenie. Ciszkiewicz służył niegdyś w puszczy białowieskiej i należał do sławnej kradzieży kilkodziesięciotysięcznej w lasach rządowych. Miał się nie źle, bo myślał wziąć u księcia folwark w dzierżawę. Na Żurbę patrzał, jak człowiek, co wielu w swem życiu rzeczy nie uszanował i kiesę naładował tęgo, patrzy na młodzieńca, mającego, zdaniem jego, podążyć w te same ślady. Tem pogardliwiej z Samotyą o nim się wyrażał, im więcej w tym chłopcu dostrzegał cech uczciwości.

— Ja tobie mówię, Gaudenty — powtarzał swemu przyjacielowi — że ten Żurba, ta panienka, rozpadająca się nad kwiatami, przestęka całe swe życie w nędzy... Jeżeli na nieszczęście swoje ożeni się kiedy, i sam, i żona, i dzieci jego z głodu będą mrzeć i z chłodu się trząść. Myślałem z początku, że to nasz brat... ee! gdzie jemu do nas!.. Wiórem mu być zeschłym po wiek wieków i golcem!

— A też fawory Dobrogodzkiego?

— Baj-baju, będziesz w raju! Łaska pańska na pstrym koniu jeździ.

— Nie rozumiem, *jakbokocham* — mawiał Samotya — czemu ten chłopiec nie kierował się na uczonego? Miałby więcej książek, niż teraz, a jego miejsce w „łosiej jamie" zająłby ktoś z naszych...

— Aha, Gaudenty! Przemądrzałby jeszcze więcej, a tacy Dubińscy i Kłokoccy szerzej by gęby rozdziawiali, słuchając go.

W ten sposób ryży, z twarzą apoplektyczną i oczami wyzwierzającemi się, Ciszkiewicz, i stary lis, szachraj z wieści, a niewiniątko z wejrzenia, Samotya, rozmawiali często o wstręcie Żurby do okradania dziedzica i o zamiłowaniu jego do książek. Miał on ich trochę od ojca, trochę od wuja, zawziętego wolno-mularza. Czego między niemi nie było? Znajdowały się tam powieści Walter-Skota i Kraszewskiego, poezye Mickiewicza i opisy wojen napoleońskich, historya jakobinizmu i „Lekarz wiejski," książka treści medycznej, z datą 1792 r., napisana przez niejakiego Dunina, dzieła Naruszewicza i „Muzeum domowe," pisma Krasickiego i słownik Kluka, herbarz Paprockiego i podręcznik technologii. „Lekarz wiejski," słownik Kluka, historya jakobinizmu i „Technologia" dostarczały Żurbie takich wiadomości, które w zdziwienie wprawiały słyszących je od

stkiem wyraźne zapewnienie biskupa, które zresztą znalazło radośny odgłos i w gazetach rusińskich, nietylko w klerykalnym *Mirze*, lecz i w liberalnem *Dile*.

Mowa ks. Pełesza zrobiła w sejmie i poza sejmem bardzo wielkie i korzystne wrażenie; ks. A. Sapieha zaraz uznał ją za programową, witając w niej nowy objaw politycznej myśli rusińskiej. Ważnem było również to, że biskup bardzo wyraźnie zaliczył się do tej samej partyi rusińskiej, co p. Romańczuk i ks. Kaczała, t. j. do narodowców, zaznaczając przez to zarazem demokratyczny charakter swego programu. W odpowiedzi też na ten ustęp jego przemowy wystąpił pos. Romanowicz z uroczystem zapewnieniem, że polscy demokraci solidaryzują się z rusińskimi narodowcami i gotowi iść z nimi ręka w rękę.

Takie były charakterystyczne objawy tej rozprawy, która, zdaniem mojem, ma więcej zasadniczej, niż praktycznej na razie wagi. Bo chociaż pod wpływem obrad wielu posłów gruntownie zmieniło poglądy swe na wniosek Romańczuka i chociaż ogromną większością odesłano całą tę sprawę jeszcze raz do komisyi szkolnej dla nowego rozpoznania, tam zasada rozszerzenia praw rusińskiego języka w szkołach nie bardzo znaczne uczyniła postępy. Politycy polscy z obozu krakowskiego — ludzie praktyczni, lubią i umieją się targować. Zresztą wkrótce będziemy mieli sposobność wrócić do tej sprawy.

Dziś odbyło się uroczyste wprowadzenie ks. Pełesza na nowo utworzoną stolicę biskupią w Stanisławowie. Wszystkie władze państwowe i autonomiczne, towarzystwa, instytucye i redakcye pism rusińskich wysłały swoich delegatów. Nie obejdzie się zapewne i bez przemówień charakteru politycznego, które wielce mogą przyczynić się do oświetlenia stanowiska najrozmaitszych warstw społecznych i narodowych względem władyki i jego świeżo wygłoszonego programu. Lecz o tem później.

Iwan Franko.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Po wielu usiłowaniach udało się nakoniec Freycinetowi skleić gabinet, który liczyć może na poparcie republikanów wszystkich odcieni. Na 11 ministrów 5 należy do stronnictwa umiarkowanego, 4 do radykalnego, 2 wreszcie — wojny i marynarki nie liczą się do żadnej partyi. Radykalizm kilku nowych ministrów jest właściwie bardzo delikatnem zabarwieniem na różowo ich przekonań; jeden tylko Lockroy przedstawia pewną siłę polityczną. Nowy gabinet zamierza zająć się głównie sprawami ekonomicznemi, uporządkowaniem finansów i reformą administracyi, nie zasadniczą wszakże, ale dotyczącą tylko składu osobistego. Wydatki na utrzymanie kolonij mają być ograniczone.

Z pobudki Rosyi przedstawiciele sześciu mocarstw zawezwali Turcyę, Bułgaryę i Serbię, żeby rozbroiły się; to samo żądanie powtórzone zostało w Atenach, ale, jak się zdaje, nigdzie nie wywoła pożądanego skutku. Turcya w żadnym razie na nie się nie zgodzi, drobne państewka zaś przyrzekają posłuszeństwo, ale zwlekają z wykonaniem. Szczególniej oporną okazuje się Grecya, która nie może pogodzić się z myślą, że nic nie dostanie. Okazuje się przytem, że niektóre państwa jak Anglia i Francya, nie są przeciwne roszczeniom heleńskim, owszem obiecują im nawet poparcie. Grecy pragną otrzymać pozostałe pod panowaniem tureckiem części Epiru i Tessalii, gdyby się udało, to i kawałek Macedonii, ale w ostatecznym razie zadowoliliby się przyłączeniem Krety. Zgromadzenie prowincyonalne na tej wyspie ogłosić ma podobno połączenie jej z Grecyą, przykład Rumelii świadczy, że takie stworzenie „faktu dokonanego" prowadzi do rezultatów pomyślnych. Bo jakikolwiek obrót wezmą wypadki na półwyspie Bałkańskim, zjednoczona Bułgarya nie ulegnie już rozczłonkowaniu. Mocarstwa i Turcya milcząco uznały unię, trudności zaś stawiane rządowi bułgarskiemu mają na celu albo honorowy odwrót, albo wytargowanie pewnych, również bardziej formalnych, aniżeli rzeczywistych ustępstw. Porta np. zgadza się na połączenie obu Bułgaryj pod rządem księcia Aleksandra, ale pragnie, żeby unia była tylko osobistą, każda prowincya mieć powinna oddzielne wojsko i parlament, chociaż do spraw wspólnych istniałaby jedna delegacya. Sułtan nie zrzeka się zwierzchnictwa nad Rumelią i mianowanie wyższych urzędników odbywać się może jedynie za jego zezwoleniem.

Rząd bułgarski rozumie dobrze swoje położenie i nie daje zbić się z tropu groźnemi minami lub też wywieść w pole fortelami dyplomacyi. Zapewniając sułtana o swojem posłuszeństwie, książe Aleksander zaprowadza jednocześnie sądownictwo bułgarskie w Rumelii.

Dotychczasowe próby zbliżenia się do Rosyi i pozyskania jej względów wydały jeden rezultat widoczny, że rząd petersburski nie sprzeciwia się unii. Gazety wspominają, że księciu Aleksandrowi postawiono warunek konieczny, żeby usunął od rządów Karawełowa i twórców rewolucyi rumelijskiej. Warunek ten jest trudny bardzo, niepodobny prawie do wykonania, chyba że sami ci źle widziani mężowie usuną się dobrowolnie. O poświęceniu takiem może być mowa w chwili stanowczej, teraz jednak Bułgarya poprzestać może na rezultatach, jakie osiągnęła, t. j. na złagodzeniu bezwzględnej opozycyi sprawie zjednoczenia.

W Hiszpanii, w Kartagenie, która uważaną jest jako siedlisko radykalizmu usiłowano urządzić rewolucyę. Projekt wszakże nie udał się, wojsko zamknęło się w cytadeli a powstańcy, obliczywszy swe siły, przyszli do wniosku, że miasta utrzymać nie zdołają i cofnęli się w góry. Drobny to fakt, ale znaczący, jako objaw stosunków miejscowych.

Papież wystosował do księcia Bismarka list, w którym dziękuje mu za wybór na superarbitra w sprawie karolińskiej i oddaje pochwały głębokiej mądrości kanclerza. Zdaje się, że bezpośrednią odpowiedzią na te umizgi jest wiadomość o zgodzie rządu pruskiego na obsadzenie biskupstwa gnieźnieńskiego. Obie strony ustąpiły coś ze swych wymagań i wynalazły wreszcie kandydata, posiadającego zaufanie obopólne, jest nim jakiś polak, ale ze... Szląska. Bądź co bądź, order Chrystusa na piersiach Bismarka przypięty przez najwyższego pasterza katolików, błyszczy bardzo dziwnem światłem.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

„PRACA ORGANICZNA."

Trzeba koniecznie zgryźć, zżuć i wyplunąć w przestrzeń to, co *było*, a spadnie na ziemię to, co *być powinno*. Według tego przepisu z lekkim trudem leczyli ludzkość i narody rozmaici znachorzy polityczni i społeczni, zbierający chwałę i grosze w swojej wiosce lub gminie. Ponieważ zaś nie-

---

niego. Znał się na wielu chorobach i lekach, zapamiętał oznaki niektórych cierpień groźniejszych i czasem w dni pochmurne i słotne, pod wpływem długiej samotności, smutny, w sobie samym widział ślady złych objawów. O posępnych jakobinach, dużo i zapalając się opowiadał. Z technologii, grubej, oprawnej w zieloną okładkę książki, wiele się dowiedział. W lasach księcia Wirszajłły starym sposobem, w piecach ziemnych, pędzono smołę; Żurbie przychodziły na myśl rozumnie urządzone smolarnie amerykańskie. Marzył o zastosowaniu ich w kraju.

— Brednie to są, brednie! — wynurzył swą niewiarę czasem którykolwiek z kolegów.

— Alež o tem w książce jest! — wykrzykiwał oburzony.

Otwierał „Lekarza," w pergamin oprawnego lub „Technologią" w zielonej okładce, i, rozżalony na niedowiarków, czytał im z przejęciem, zatapiając się duszą całą, czepiając słów autora, jak dziecko, zranione grubem obejściem, szat matki. Skończywszy zaś, pytał odurzonych raczej dźwiękiem wyrazów, niż ich znaczeniem, słuchaczów: „a co?"

Tem to właśnie ściągał od Samotyów i Ciszkiewiczów przytyki do uczoności.

Pięć lat Żurba służył u księcia Wirszajłły.

W ciągu tego czasu rozwinęły się w jego charakterze dwa rysy. Żywo się przejmował wszystkiem, co do chlebodawcy należało, i stał się pilnym. Szczególnie w sprawozdaniach piśmiennych objawiał pilność. Żaden leśniczy nie utrzymywał tak porządnie, jak on, swych kwitaryuszów. Przez cały ciąg pięcioletniej służby główny zarząd leśny odbierał od Żurby rachunki dokładne i wykończone w formie. Powoli je sporządzał, ale zawsze opatrzył jakąś swego pomysłu rubryką, bardzo trafną. Kwitaryusz jego wynalazku Dobrogodzki zaprowadził w całej administracyi leśnej księcia Wirszajłły. Nie było gorliwszego obrońcy praw księcia nad tego chłopca. Wczytywał się w przepisy prawne, znał się dobrze na stopniach kary za wzniecony pożar w lesie, za ścięcie drzew, za wydzieranie barci. Złapał kogokolwiek na szkodzie, a napotkał opór ze strony rabusia drzew lub zwierzyny, wtedy rwącym się od wzruszenia głosem wydawał swym „leśnikom" rozkazy przytrzymania. Nie posiadał grzmiącego, jak Samotya lub Ciszkiewicz, głosu, który wydobywszy się z piersi, nie daleko od niego odbiegał, marł tuż zaraz. Nie mógł więc Żurba, jak jego koledzy, nastraszyć zuchwalszych złodziejów. Zasapany, z jednostajnem „jaż tobie dam! popamiętasz!" jak rumak, rozgrzany wrzawą bitwy, rzucał się z zaciśniętymi aż do bólu skroni zębami i pięściami na winowajców. Taki człowiek — to istny skarb!...

O sobie tylko mało pamiętał. Nie będąc z natury chciwym i nie posiadając jeszcze żony z dziećmi, nie okradał chlebodawcy. Środki utrzymania, dawane przez księcia, wystarczały mu. Ani jednego grosza nie uciułał w ciągu służby. Całą swą spiżarnię zdał na ręce Motruny, która nieraz nadużywała jego zaufania, lecz on tego nie wiedział. Łosie, sarny, ptaszarnia domowa, lanie kul, wczytywanie się w „Technologię" i „Lekarza," coraz nowe przeróbki w domu, pielęgnowanie kwiatów i zdawanie co miesiąc wytwornie sporządzonych raportów Dobrogodzkiemu — oto, w czem się gubiła cała jego uwaga. Tymczasem mięso, słonina, masło i mąka znikały dziwnie prędko. Czując niewygodę z natręctwa kolegów, nie umiał na to poradzić.

— Powinieneś być dbalszym, Jasiu, o siebie! — napominała nieraz matka, gdy przyjeżdżała doń w odwiedziny. Objadają

ma świerzbiączki, któraby częściej i mocniej drażniła umysł ambitny nad chęć reformatorstwa, więc kaznodziejów, apostołów, mesyaszów, małych i maleńkich inżenierów, wytykających drogi w przyszłości, nigdy nie brakło. Historya też człowieczej głupoty jest długa i obfita — jak świadczy o tem osobne dzieło jej poświęcone.

Najpłodniejszą matką tego rodu jest niedola. Na jej łonie kołyszą się i chowają krzykliwe i kapryśne dzieci, pragnące trzymać chorągiewkę w jednej a kulę świata w drugiej ręce. Ale gdy przed społeczeństwem otwiera się droga prosta, szeroka, oświetlona promieniami szczęścia, wtedy milkną błędne ogniki, które płoną na moczarach i bagnach. Gdy w ciężkiej wędrówce po manowcach najrozumniejsi stracą głowę, nikt nie ma busoli i nikt nie widzi bezpiecznego wyjścia, wtedy każdy nastręcza się ze swym pomysłem, każdy radzi, a najlekkomyślniejsi objawiają największą pewność siebie i chęć ukamienowania dotychczasowych przewodników. Że ich głos chwytają uszy, że ich wskazówek słucha zbłąkana rzesza— nic w tem dziwnego. W niebezpieczeństwach, w rozpaczy strwożona myśl czepia się wszelkiego okrzyku śmiałego i zwykle przeniesie namowę do ryzyka nad zachętę do długiego mozołu. Dajcie bankrutowi do wyboru: grę lub pracę, loteryę lub oszczędność, z pewnością ujrzy swój ratunek w pierwszych, a nie w ostatnich.

Tak bywało zawsze i wszędzie.

Zgranemu do ostatniej koszuli, zawiedzionemu na wszystkich loteryach narodowi naszemu wskazano inny, przeciwległy kierunek — pole wewnętrznego rozwoju. Z odmiennych nici i odmienne ręce usnuły wówczas program t. z. „pracy organicznej,“ polegający na wzmacnianiu wewnętrznych, duchowych i materyalnych sił społeczeństwa, na mnożeniu jego zasobów we wszystkich dziedzinach, na potęgowaniu czynników żywotnych. Pozornie nie było w tej regule nic nowego, bo przecie każdy naród cywilizowany, niezastygły i nieskostniały, pracuje nad swym rozwojem wewnętrznym. W naszem jednak życiu zbiorowem było to zasadą o tyle nową, że ona przeciwstawiała się ostro dawniejszej, długo powszechnie wyznawanej i surowo przez skutki osądzonej — zasadzie spekulacyi na pomoce zewnętrzne i porywy zbrojne. Na tym punkcie spoczywała cała waga głoszonej idei, która wszczepiała się trudno, bo zamykała dążenia i cele ogółu w ciaśniejszem kole przedsięwzięć społecznych, bo rozpraszała ulubione złudzenia, zobowiązywała do ciężkich trudów i ofiar a nadzieję spełnionych pragnień odsuwała w przyszłość daleką. W połowie siódmej dziesiątki lat bieżącego stulecia był to dla apostołów „pracy organicznej“ przełom, wymagający dużo śmiałych wysiłków a dla społeczeństwa bardzo ciężki. Ostatecznie jednak, uznana zarówno przez żywioły postępowe jak zachowawcze, przyjęła się ona i stała niemal głównem przykazaniem życia.

Żaden z jej wyznawców i obrońców nie obiecywał szybkiego następstwa wielkich dobrodziejstw, zdolnych zadowolić całkowicie tę niecierpliwość, która była znamienną cechą naszej natury. Nikt nie przepowiadał, że „praca organiczna“ natychmiast obleje nas morzem szczęśliwości, w której będziemy się kąpali rozkosznie. Chociaż więc ostatni dwudziestoletni okres rzeczywiście pomnożył dorobki nasze we wszystkich dziedzinach życia: rozwinął literaturę a zwłaszcza prasę, skierował myśl ogółu do poważnych zagadnień społecznych, nadał większy ruch życiu ekonomicznemu, rozprowadził zamknięte w szczupłym ostrokole przesądów żywioły po różnych sferach pracy, dotąd przez nie wzgardzonych, chociaż — co było również olbrzymią korzyścią — odciągnął wyobraźnię narodu od lotów fantastycznych w krainę obcego miłosierdzia i od przynoszenia stamtąd miodowych złudzeń — duch tego okresu, nietworzący cudów, spowszechniał, stracił urok i wpływ. Zwłaszcza gdy niezależne od niego czynniki zmroziły owoc wielu usiłowań, gdy przytem powiały inne prądy, zaczęto upatrywać innych gwiazd przewodnich.

Pierwsze uderzenie w zasadę „pracy organicznej“ wymierzyli socyaliści. Jako oparta na podstawach istniejącego ustroju, nie mogła ona naturalnie pozyskać sympatyi ludzi, którzy pragną przedewszystkiem burzyć wszelkie stare fundamenty. W poważnych tedy rozprawach i lekkomyślnych a często brutalnych napaściach rzucali oni z Gienewy i Paryża papierowe pioruny w „organiczników,“ gromiąc lub wydrwiwając ich „burżuazyjne nawyczki (!).“

Od socyalistów, nie wiedząc o tem lub nie przyznając się, pożyczyli broni nasi konserwatyści szarego końca, którym szło o strzelanie czemkolwiek do „warszawskiego pozytywizmu“ i wszystkiego, co on zrodził. Na kartach pism i zpod piór, które dla samej zgody ze swem stanowiskiem nie powinny były dopuszczać się bluźnierstwa przeciwko odmawianiu społeczeństwa od szaleństw i nakłanianiu do rozwoju wewnętrznego, płynęły potoki czernidła, obryzgującego „program pracy organicznej.“ Nareszcie czerwona przędza z kądzieli Marxa wplotła się w tkaniny kleryklano-szlachecko-zachowawcze, tak że dziś widzimy ją nawet we wzorach ultramontańskich ornatów, a ośmielony tem jeden z dzienników warszawskich z buńczuczną naiwnością zawyrokował, że „praca organiczna,“ ogłosiwszy swą upadłość, ze zgryzoty umarła i zasługuje już tylko na szyderczy nekrolog.

Jeżeli to ma być wierny odgłos rzeczywistości, można zapytać, czy ci nasi „politycy“ w pogoni za nowymi „programami“ nie pogubili klepek z głowy. Bo czy podobna wyobrazić sobie zdrowy, oświecony, nawet tylko rozsądny naród, który by między graty i rupiecie wrzucał zasadę „pracy organicznej,“ to jest pracy nad rozwijaniem swych sił umysłowych, moralnych i materyalnych? Naród taki należałoby okryć dachem i ścianami jednego budynku i powierzyć go opiece Jana Bożego. Tak źle u nas nie jest—ogół stoi na stanowisku, jakie zajął przed kilkunastu laty, fa-

---

cię. Zwróć oko na Motrunę, ona ma krewnych na wsi... Pewno im nosi...

Napróżno! Nigdy się nie zdobył na to, żeby Samotyę, Ciszkiewicza lub Dubińskiego wyrzucić za drzwi, pomimo iż przez pięć lat poznał na wylot ich charakter niski i przekonał się niejednokrotnie o usiłowaniu szkodzenia mu potwarzą i plotkami. Ze swoją delikatnością stworzony był na wyzyskiwanego. Zbytek rozwagi krępował i osłabiał wolę jego, chociaż podniecaną często przez zniecierpliwienie. Tylko bezpośrednia obraza lub krzywda zdolne były pobudzić Żurbę do wybuchu.

II.

Miał dwadzieścia pięć lat, gdy na wezwanie wuja swego „podziękował za obowiązek“ księciu. Opuścił Samotyów i Ciszkiewiczów, uradowanych w duszy, choć zasmuconych z twarzy. Odjechał z „łosiej jamy,“ pozostawiając ptaszarnię i dom z hałaśliwym, własnego pomysłu kominkiem, z ogródkiem i płotami, Motrunę na dziedzińcu z fartuchem przy oczach, i mogiłkę dziecięcą na pagórku, z bielejącym krzyżykiem...

Wuj Żurby, nazwiskiem Rokiciński, stary kawaler, posępny wolnomularz, powołał go do siebie, bo czuł zbliżający się koniec. Mieszkał nad Ptyczą, w Targówku, w folwarku darowanym mu przez księcia Gundziwiłła za zasługi. Gundziwiłłówna przyniosła w wianie księciu Wirszajle klucz do dóbr, w których skład wchodził niegdyś i Targówek. Ktoś, chcący zaszkodzić Rokicińskiemu, czy może zemstę wywrzeć, puścił pogłoskę, jakoby aktu darowizny, wniesionego w księgi notaryalne, nie posiadał. Pełnomocnik, schlebiając księciu Wirszajle, namówił go do wytoczenia procesu o nieprawne władanie. Magnat swym palcem złotym nacisnął sprężyny urządzeń sądowych. Machina, złożona z ludzi o oczach i mózgach stępionych na statutach, puszczona w ruch, groziła zgrzybiałemu starcowi zgnieceniem... Stądto Jana Żurbę, najulubieńszego z siostrzeńców, wezwał do siebie i poruczył mu prowadzenie procesu. Prowadził go dobrze i wynalazłszy w grodzie akt darowizny, wygrał sprawę w sądzie z księciem. Drobna szlachta i mieszczanie, nieraz już gnębieni przez magnata, winszowali mu zwycięstwa. Pan apelował do senatu, ale i tam przegrał. Tryumfował Żurba całkowicie, wywołując zdumienie w nawykłych do powodzeń księcia.

Proces włókł się trzy lata, przysporzył Żurbie głębszej znajomości prawa i postępowania sądowego. Był ważnym wypadkiem w życiu jego i niespożytym przedmiotem do opowiadań. Rokiciński umarł, nie doczekawszy końca i zapisawszy siostrzeńcowi swe godła wolnomularskie oraz książki, tchnące duchem demokratycznym... Targówek miał trzysta włók ziemi i trochę lasu, a spadkobierców zjawiło się mnóstwo. Jak psy do kości, tak różne „pocioty“ Żurby rzuciły się na spadek. Rozszarpali, podzielili na tyle drobnych sched, że każda włóki jednej nie wyniosłaby. Żurba sprzedał swoją włókę jednemu ze spadkobierców. Dostał za to kilkaset złotych. Gdyby mu wuj był nie dał „ciepłą ręką“ jeszcze, jako ulubieńcowi swemu, dwóch tysięcy złotych, musiałby znowu pójść na służbę. Niktby go nie przyjął w całym powiecie, wiedząc o procesie z księciem. Wieści o Żurbie, roznoszone i rozdmuchiwane przez pochlebców służalczych, troszczących się o własny byt, były pełne kłamstw, przesady, złości lub głupoty.

— Sąsiedzie kochany! chciałbyś Żurbę przyjąć na oficyalistę? Ależ na rany Chrystusa, to pieniacz!..

— Oo? Nie może być? Pierwszy raz słyszę...

brykańci „nowych programów“ wielkiego powodzenia nie mają, pomimo że obcięli i wyszarzali sztandar, dla którego chcieli wzbudzić powszechną niechęć.

Najwznioślejsza idea, przepuszczona przez pytel niesfornych języków, wysieje się z nich jako niedorzeczność. Z klasycznego epikureizmu zrobiły te pytle rozpustę i zbytek, z cynizmu — ohydny bezwstyd, z chrześciaństwa—tyranię; cóż dziwnego, że skromna idea „pracy organicznej“ u nas zamieniona została na program, mający służyć do zbogacenia milionami jednostek kosztem mas! Najłatwiejszy to sposób pokonania jakiejś zasady za pomocą wystrzyżenia z niej bredni własnego pomysłu. Żaden też z prostujących ścieżki narodu nie zajrzał do źródeł, z których potępiany przez nich prąd wytrysnął, żaden nie zaczerpnął i nie rozebrał prawdziwej jego zawartości, lecz analizował swoją śliną pod imieniem cudzego mózgu, wykrywając naturalnie pierwiastki szkodliwe. Tymczasem dość przeczytać wszystkie określenia pojęcia „pracy organicznej,“ ażeby uznać, że w nich nie mieściła się recepta na smarowanie tłustych połciów przemysłowych, lecz pobudka do wszechstronnego rozwoju duchowego i materyalnego, że ów lud, który dostarcza znamiennych kokard i przepasek rycerzom nowych programów, był w planie „organiczników“ postawiony na czele starań. „Szlachta polska—pisaliśmy kiedyś w artykule streszczającym dążenia wyznawców „pracy organicznej“—wypowiedziała już ostatnie swoje słowo, nie wypowiedział go tylko lud. Mamy nadzieję, że gdy on wzmoże się w dobrobyt i podniesie w oświacie, wywrze głęboki i dodatni wpływ na przyszłość kraju. Z tej rudy stronnictwo postępowe u nas spodziewa się wytopić najwięcej szlachetnego kruszcu... Samodzielność może być tylko wynikiem wzmocnienia sił umysłowych i materyalnych, wszechstronnego rozwoju narodowego, skojarzonego z postępem ogólnym, oraz demokratyzacyi społeczeństwa, powołującej do działania w niem pierwiastki niezbudzone i niedojrzałe. Taka moc, takie ustawiczne natężenie energii, taki ruch postępowy jedynie może utrzymać żywotność narodu i zapewnić mu rozrost.“

Po kilkunastu latach rozważań i doświadczeń jest to i dziś naszą wiarą, naszem przekonaniem. I dziś, jak wówczas, zasadę „pracy organicznej,“ zasadę wszechstronnego rozwoju wewnętrznego uważamy za pierwsze u nas przykazanie rozumnej polityki i socyologii. Ci wszyscy, którzy przeciw niej walczyli przywdziawszy rozmaite szkaplerze, nie wnieśli do społeczeństwa ani jednej nowej myśli, żadnego programu, tylko paląc dziennikarską słomę narobili dymu i swędu, językami zaś—wrzawy, która podtrzymuje doskonale zamęt, ale nie wskazuje drogi.

ZNOWU!

Kraków, 11 stycznia.

Przed paru miesiącami pojawiła się w jednem z pism tutejszych długa odezwa, nadziana cytatami z obcych języków, nasrożona przeciw Bismarkowi i przeciw innym głośnym osobom oraz rozmaitym narodom. Po długim i mistycznym wstępie, przypominającym sposób myślenia emigracyi z przed 50 lat, oznajmia powyższa odezwa, iż „oto 500 lat mija kiedy posłowie polscy w styczniu 1386 roku jechali na Litwę po Jagiełłę—w lutym jego chrzest i ślub z Jadwigą, a 4 marca koronacya na polskiego króla. Od tego czasu poczęła się dla nas wytwarzać myśl dziejowa“, jakiej żadna nie dorównała nigdy. W rezultacie odezwa proponuje jubileusz: „Rzeczy wzniosłych godzien nie tyle ten, co je rozumie... lecz ten, kto je kocha i czci. Zakrzątnijmy się tedy około wielkiego jubileuszu wszyscy prostaczkowie i uczeni—nie jako stronnictwa, lecz jako naród.“ Że Kraków bez jubileuszów i komitetów żyć nie może, to zdawna wiadome, ale to dziwniejsze, że odezwa wyszła od młodzieży, i to młodzieży stojącej po za wpływami światłego duchowieństwa i świetnych władz akademickich. Będziemy więc mieli jubileusz, komitet jest, składki pewno wnet się otworzą. Będzie cała maszyna do wielkiego kiwania palcem w bucie, będą się ludzie cieszyli, że posłowie akurat pięćset lat temu jechali po śniegu na Litwę, będą się całowali i modlili, bo są u nas tacy, którzyby nie spali spokojnie 4 marca, gdyby bodaj jednej bomby jubileuszowego piwa za „spokój duszy“ króla Jagiełły nie wypili. Gdy im się ulży, gotowi spać drugie 500 lat w przeświadczeniu dokonanego dzieła, żeby doczekać się 1000 letniego obchodu tej samej chwili pamiętnej. Jakiż związek przyczynowy może łączyć całą naszą smutną dolę galicyjską z potrzebą uroczystego przypominania światu chrztu Jagiełły? Chyba ten sam, jaki istniał w głowie Dickensowskiego staruszka, który słysząc uderzenie godziny dziesiątej rzewnie zapłakał, wzruszony myślą, iż wówczas, kiedy dzieckiem leżał w kołysce niewątpliwie musiała również bijać godzina dziesiąta! Wielka zaprawdę jest moc wspomnienia. Ale i w przyszłość umie poglądać odezwa mówiąc: „Przyjdzie dzień, w którym w imię ludzkości, cywilizacyi, w imię zwycięstwa prawdy nad niesprawiedliwością potomni zapytają się: Czy przodkowie rzeczywiście mieli prawo do bytu?“ Na szczęście jubileusz zamknie usta ciekawym ludziom w owym dniu przyszłości.

Czyż wobec tego ważnego przedsięwzięcia ta biedna, opuszczona i zadłużona jak wdowa Galicya może mieć pretensye do inicyatorów jubileuszu, iż siły, grosz czas oddali czci dawno zmarłych mocarzy ze stratą żywych a nędznych współobywateli? Nie, chyba tylko cisnąć im może w oczy wyrzut: Niepoprawni! A ci niepoprawni to młodzież krakowska, chluba kraju. Ta młodzież żądna wiecznie ruchu i czynu—musi chwytać się niepłodnych robót, bo strażnicy moralni zamknęli jej wszystkie drogi do istotnej pracy publicznej—zabrali jej prawo wypowiadania myśli w sprawach realnej wagi, w obawie by nie zerwała się do samodzielnego życia. Siły duchowe młodych muszą jednak szukać sobie jakiegoś ujścia i rozpierzchają się po obszarach płonnego entuzyazmu. *W. P.*

SPRAWY EKONOMICZNE.

GOSPODARSTWO WÓDCZANE.

Nowe przepisy o handlu wódką, wprowadzone w Cesarstwie, zawierają wiele

---

— Dowiesz się więc, kiedy pierwszy raz słyszysz! Trzy lata prawował się z księciem! Cóż ty na to?...

— Hm, widocznie musiał?

— Aha! musiał — ciągnął dalej posiadacz ziemski, zapalając się — musiał! Ależ, dowiedz się, z kim!

— No, z księciem...

— Z *chlebodawcą* swoim! — przesylabizował ze zgrozą.

Sąsiadowi twarz się wydłuża, oczy zwiększają się, nieruchomieją, odbijają zdziwienie, zmieszane z trwogą.

— Szkoda... Widziałem go onegdaj u Hreczchy. Dawniejszy nadleśniczy księcia, Dobrogodzki, zachwalał mi tego chłopca. Podobał mi się on... Wiesz, nastręczał mi się z urządzeniem w lasach moich smolarni. Powiada: piece ziemne, w których pan smołę pędzisz, są niepraktyczne — jabym panu zbudował smolarnię wedle systemu amerykańskiego.

Żurba, naczytawszy się swej „Technologii,“ ciągle nosił się z tą myślą.

— Tak! miałbyś go po uszy, jak książę!

Sąsiadowi ochota odpadła. Jak powiat szeroki i długi, wszędzie w ten sam sposób gadano.

Kiedy Żurba chciał z ojcem folwark u którego „obywatela“ wydzierżawić, ta sama nieufność szkodziła mu. Aż w końcu wziął w dzierżawę wieś, położoną nad jeziorem Kniaź czyli Żyd, a Żydkowicami zwaną. Sto chałup niskich, zapadających w ziemię, przeglądało się w sinej toni tego jeziora, które swemi falami płukało kilka mil brzegów i w ryby wszelkie bogate było... Pańszczyzna jeszcze kwitła wtedy w kraju, robotników starczyło, więc gospodarka na żyznej glebie szła nie źle, czasem nawet dobrze.

Żurba wtedy liczył dwadzieścia ośm lat, miał zarost na twarzy nie bujny, czoło zwiększone ubytkiem włosów, z pod szczupłego wąsa wyglądały kształtne usta, okraszone uśmiechem prostodusznym, dziecięcym, pod gęstemi brwiami paliły się pewne i harde czarne oczy, a między niemi rozdymał się nos orli, duży.

Była u dziedzica nauczycielka, świeżo z pensyi wzięta. Miała lat siedmnaście, a nazywała się Pelagią Kuścianowską. Skromnością tchnęła ta dziewczyna i posiadała twarzyczkę ładną, a z oczu błękitnych wdzięk przykuwający i powaga wiały. Tkliwość wielką i słabą budowę ciała po matce odziedziczyła. Trudniła się lekcyami muzyki i języka francuskiego. Od pierwszego wejrzenia wpadła w oko Żurbie. Odznaczał on się nieśmiałością względem kobiet z uprzywilejowanej klasy i dużo cierpiał, zanim uczucie swe wyznał. Pelasia go przyjęła, bo uczuwała doń skłonność i była sierotą: matkę z schot a ojca z zapalenia płuc utraciła. Pobrali się więc. Odtąd Żurba czuł się skończonym człowiekiem. Sześć lat w Żydkowicach spędził szczęśliwy i doczekał się trojga dzieci. Gospodarkę prowadził opieszale, z niezaradnością wielką, odkładając sprawy na później. Skąd w oczach dzierżawców zabiegliwszych i ekonomów sprężystych uchodził za „dojutrka“ i „ciemięgę.“

— Żurba bawi się w miłość bliźniego—mawiali o nim — chamskie skóry oszczędza!

Rzeczywiście, nie potrafił, jak należało, wysysać potu i krwi chłopskiej. Robiono mu uwagi, że miałby więcej dochodu, gdyby „poletków“ całych nie zostawiał wiecznym ugorem, lecz sumiennie wyzyskiwał wszystkie dni robocze chłopa. Napróżno — nie posiadał „sprężystości dzielnych gospodarzy;“ miał dostatek, lecz majątku nie robił. Wieś, gnębiona przedtem przez ekonomów, dziwiła się miękkości „lacha,“ podrywając skrycie, lecz i wdzięczna mu była, że wolniej oddychała. W ciem-

postanowień, zmieniających dotychczasowe warunki sprzedaży napojów wyskokowych. Urzędy trunkowe (pitiejnoje prisutstwie), złożone z przedstawicieli władzy i organów samorządu miejscowego, mają prawo regulować ilość szynków, wydawać pozwolenia lub odmawiać patentu dla sprzedaży wódki. Oprócz tego przepisy nowe reformują karczmę rosyjską (kabak), dzieląc wszystkie zakłady na dwie kategorye: zwyczajne szynki mogą sprzedawać wódkę tylko w butelkach, traktyerniom zaś, które korzystają z pewnych przywilejów, wolno ją zbywać na miejscu. Ponieważ termin dzierżawy propinacyj Królestwa kończy się w całym kraju 13 stycznia 1886 r., właściciele majątków i propinatorzy, nie otrzymując żadnych wyjaśnień, niepokoili się pytaniem: na jakich zasadach odbywać się będzie handel cząstkowy wódki w przyszłości?

Niedawno dopiero Izby skarbowe otrzymały zawiadomienie z ministeryum o zmianach, jakim ma podlegać propinacya w Królestwie. Przepisy te nie znoszą jej bynajmniej, wprowadzają jednak pewne zmiany, dosyć ważne dla właścicieli ziemskich. Prawo propinacyi na gruntach włościańskich wydzierżawiane będzie na lat trzy, nie zaś na sześć, jak było dotychczas. Przywilej, z którego korzystali właściciele ziemscy, otrzymujący propinacyę na zasadzie deklaracyi i bez kaucyi — zniesiono. Do przetargu stawać mogą wszyscy ci, którym na zasadzie ustawy akcyznej dozwolono zajmować się we wsiach sprzedażą trunków. Żydom ani propinatorami, ani szynkarzami bezwarunkowo być nie wolno.

Licytacye odbywać się będą nie pojedynczemi wsiami, lecz majątkami, mającymi oddzielne księgi hypoteczne, chociaż w skład ich wchodziło kilka wsi, i zaczną się od ilości t. z. dochodu normalnego, wyliczonego szczegółowo. Mianowicie we wsiach, znajdujących się przy stacyach kolei żelaznej lub przy drogach szosowych 1 i 2 rzędu, po 4 ruble za każdą osadę, zapisaną w tabeli likwidacyjnej; w miejscowościach połączonych traktami — po 3 i w innych po 2 ruble za osadę. Norma podwyższa się o rubla, jeżeli jest we wsi zarząd gminny i o tyleż, jeżeli jest kościół; podwyżka ta jednak stosuje się tylko do 30 osad. Dzierżawca winien złożyć kaucyę w wysokości półrocznego czynszu dzierżawnego, której zwrot następuje dopiero po 3 latach. Jeżeli pierwsza licytacya nie dojdzie do skutku, następne rozpoczną się od cen zniżonych.

Nowe przepisy mają więc wyłącznie charakter fiskalny, jakkolwiek, zanim ogłoszone zostały, nadawano im znaczenie doniosłej reformy. Karczma nie zmieni bynajmniej swego typu i najmniejszego ograniczenia pijaństwa nie sprowadzi. Prasa rosyjska poddaje też mniemaną reformę surowej krytyce, w której rej wodzą *Moskowskija Wiedomosti*. Organ p. Katkowa zarzuca ministeryum skarbu, że świadomie rozpaja i demoralizuje ludność, na co przeciwna strona słusznie znowu odpowiada, że akcyza stanowi trzecią część budżetu wpływów, że deficyt chroniczny wymaga nowych źródeł dochodu, które tylko w szynku znaleźć można, zdolność bowiem płatnicza ludności jest już zupełnie wyczerpaną. P. Katkow znalazł jednak radę, w której oba te sprzeczne dążenia pogodzić się dadzą za pomocą monopolu państwowego w handlu trunkami. Monopol taki istniał kiedyś w Rosyi i doprowadził do tak opłakanych rezultatów, że zniesienie jego uważano za jeden z ważniejszych czynów panowania Aleksandra II; dziś wszakże powrotna fala uderza tak mocno, że nietylko wskrzeszenie t. z. „odkupu,“ ale i ustanowienie instytucyi szynkarzów przysięgłych, urzędników państwowych, którzy istnieli przecie za czasów Iwana Groźnego, wydaje się może prawdopodobnem, zwłaszcza jeśli dodamy, że monopol państwowy handlu wódką wprowadza obecnie Bismark w Niemczech.

Dzienniki poznańskie witają życzliwie projekt kanclerza, odnajdując w nim takie nawet cele, o jakich zapewne rząd niemiecki nie myślał.

W Niemczech dochody normalne nie wystarczają również na pokrycie wydatków i nie mniej trudno wyszukać nowych źródeł. Monopol zaś obiecuje państwu 185 milionów marek czystego zysku, pokusa więc jest zbyt silną, żeby jej się oprzeć, zwłaszcza że interes tej warstwy narodu, którą rząd opiekuje się, t. j. właściciele ziemskich, skorzysta. Następstwem monopolu bowiem byłoby podniesienie cen spirytusu i ziemniaków i, co ważniejsze jeszcze, zapewnienie dochodu stałego i pewnego. Inne jeszcze względy, o których szczegółowo mówić nie będziemy, czynią projekt monopolu dla właścicieli ziemskich pożądanym. Wprowadzenie jego w Niemczech wpłynęłoby i na nasze stosunki, gdyż utrudniłoby znacznie kontrabandę, jeżeli rząd pruski nie zamierza prowadzić jej na własną rękę. Ale nie możemy zgodzić się na zdanie *Dziennika poznańskiego*, że projekt ma także na celu podniesienie moralności i zdrowia ludu. Czy „wolna,“ czy „normowana“ karczma, będzie na zawsze siedliskiem zepsucia, używanie zaś alkoholu w jakiejkolwiek formie i w jakikolwiek sposób jest równie dla zdrowia jak i dla moralności szkodliwem. Podniesienie ceny spirytusu nie zmniejsza wcale pijaństwa, może ono ograniczyć spożycie trunków przez ludzi rządnych i oszczędnych, którzy wyrzekną się kieliszka wódki przed obiadem, ale nie wpłynie na pijaków nałogowych. Dotychczasowe spostrzeżenia i cyfry statystyczne dowiodły, że pijaństwo nie idzie wcale w parze ani z ceną wódki, ani nawet z ilością spożytego przez całą ludność kraju alkoholu. Ciągłe podwyższanie akcyzy w Rosyi nie zmniejszyło bynajmniej pijaństwa, sprawiło tylko, że spożycie doszło do pewnej ilości, od której nie odstępuje pomimo wzrastającej ceny trunków. Istnieje więc pewna norma spożycia, określona zarówno potrzebą jak nałogiem, na zmianę której podwyższenie ceny wódki nie wpływa, jedynym zaś jego rezultatem jest tylko zubożenie ludności. Pijak będzie rujnował się, będzie kradł, lecz pić nie przestanie. Nałóg zwalczać należy w inny sposób, wszelkiemu jednak oddziaływaniu w tym kierunku monopol państwowy stoi na przeszkodzie. Niepodobna bowiem jednocześnie i stale zmniejszać spożycie alkoholu i zwiększać dochód. Skarb i właściciele ziemscy mogą korzystać z monopolu, ale właśnie interes ich w tej sprawie jest wręcz przeciwny moralności i zdrowiu ludu. Trudnem staje się również a często niemożliwem oddziaływanie przeciw pijaństwu, które otrzymuje niejako uświęcenie od państwa, nie mówiąc już o tem, że monopol handlu wódką w dzisiejszych stosunkach poniża władzę w oczach ludności. Handel wódką nie jest ani trochę lepszym od utrzymywania domu gry, jak to czyni książę Monaco, lub domów rozpusty, które przynosiły ładny dochód królom neapolitańskim. Ale nas, zresztą, nie obchodzi to wcale.

P.

LISTY KRAKOWSKIE.

11 stycznia 1886.

Dnia 1 grudnia 1885 roku podczas obrad sejmu galicyjskiego w sprawie dostaw wojskowych dla armii, poseł Męciński po-

---

nych mózgach kmiecych budził Żurba bojaźń tajemniczym sposobem leczenia zimnic, wścieklizny i ukąszeń żmij. Spracowane i pomarszczone chłopki błogosławiły go za leki, sporządzane wedle przepisów „Lekarza wiejskiego.“

— Niech tobie Bóg najwyższy szczęście daje za twoje, panie-gołąbku, rady dobre, za twoje słowa pociechy!... Niech twoje dziatki rosną szczęśliwie i zdrowo, jak dęby, co po borach szumią, za to, żeś ty od mężów naszych, i dzieci, i dobytku naszego chorobę poodpędzał!... Tyś ojciec nasz, żyj długie lata, ta dobra nażywaj!..

Tak żony kmiece modliły się dziękczynnie do Żurby za cząbry i rumianki od żołądków, za maści różne, sok piołunowy, macierzankę i inne zioła. A głosy ich były piskliwe i ochrypłe od rodzących się cierpień piersiowych, twarze zżółkłe, pomarszczone, zbolałe i z troską wieczną... Padały do nóg, całowały ręce Żurbie, żonie jego i dzieciom, wydobywając z zanadrza jaj, kury i orzechy.

— Nie całujcie, nie całujcie — mawiał opryskliwie, cofając ręce. Jam nie ksiądz!..

Pan dziedzic skrzywdził Żurbę. Pragnął sam gospodarować, starał się więc wycofać folwark z drzierżawy. Szukał sposobności tylko, żeby kontrakt złamać. Był to chciwy i działający za podszeptem cudzym człowiek. Gdy mu któryś sąsiad „gospodarny“ zrobił uwagę, że Żurba „popsuł“ chłopów i poprzyzwyczajał ich do lenistwa, uwierzył temu i zatrwożył się. Wszak cnoty robotnicze chłopa zapewniały mu dobrobyt... Skorzystał więc z niejasnych punktów umowy, szczególnie dotyczących uiszczania się z czynszu. W siódmym roku dzierżawy dotknął Żurbę ogólny w kraju nieurodzaj i odbił się niekorzystnie na jego dochodzie. Nie mógł więc dopełnić zobowiązania i prosił o zwłokę. Dziedzic był nieubłagany i wymówił dzierżawę. Przyszło do procesu, trwającego dwa lata. W tym czasie napastnik umarł z zadyszki, nabytej od rozpustnego życia, a Żurba, wyzuty prawie z mienia, opuścić musiał Żydkowice. We wsi tej miał znowu rozgościć się ekonom, obowiązany do wymustrowania chłopów. Z idyotyczną osłupiałością patrzyli „chamy“ na odjeżdżających Żurbów, drapiąc się w głowy i kłaniając pożegnalnie. W tyle stał folwark zrujnowany, porządny, ogrodzony, zamczysty — ślady po dzierżawcy. W serca Żurby i rodziny żal wstąpił i za gardła ściskał, bo opuszczali miejsce, z którem się zżyli i tam dużo chwil radosnych. Żurbinie łzy w oczach stały, a dzieci zanosiły się od płaczu.

— Nie płacz, Zosiu, kotku — uspakajała matka głosem przerywanym — wrócimy jeszcze do Żydkowic...

Dzieci uśmiechały się przez łzy, uspokojone.

Chłopi kiwali głowami, mówiąc między sobą:

— Dobry był „lach!..“ Wygnali go, opętani! Gady!..

— Jużci tak, jak ów mówił...

— Ciężej nam teraz będzie!

— Oj, nastanie ci teraz na nas sądny dzień!..

— Ekonom pasami skórę będzie chłopską drzeć.

— I ubierać w nią siebie i dzieci swoje... He, he, he!

Tak się skończyły dni żywota niezależnego dla Żurby, czekała go znowu dola oficyalisty.

(D. c. n.).

Z. (Komar) Pietkiewicz.

ruszył energicznie i śmiało kwestyę t. z. sporyszową, która następnie głośnem echem rozległa się w Galicyi, oparła się o Wiedeń i przyczyniła do wykrycia nadużyć nie zbyt czystej natury. W sierpniu r. z. krakowska intendentura wojskowa rozpisała ofertę na dostawę żyta do magazynów wojskowych w Krakowie, Tarnowie i Przemyślu. Dostawy podjął się dom komisowy banku galicyjskiego dla handlu i przemysłu w Tarnowie, a ministeryum wojny warunki jego zatwierdziło. Pierwsza wysyłka zboża w ilości 500 centnarów metrycznych przybyła do Krakowa we wrześniu; komisya intendentury wojskowej odebrała żyto, lecz oświadczyła, że na swą odpowiedzialność przyjąć go nie może, ponieważ znajdują się w niem drobne ziarnka sporyszu — oraz, że odwołać się musi do ministeryum wojny. Odpowiednie organa ministeryalne zabrały się do roboty, wynik jej był zgubny dla przedsiębiorstwa, gdyż w życie, według zdania komisyi, znajduje się za wiele sporyszu — mianowicie mogłoby się go znajdować „tylko *357* ziarnek a jest go *760,000*.“ Słusznie zaznaczył poseł M., iż dla matematyków 12 oddziału ministerstwa wojny należy być z całym respektem. Obliczyli oni bowiem dokładnie, że tylko 357 ziarnek sporyszu w 500 workach żyta znajdować się może! Gdyby choć 500 ziarnek — po jednem na każdy worek — ale nie, tylko 357! Dom komisowy sprzeciwił się ze słusznych przyczyn temu orzeczeniu. Przeto ministeryum wojny nakazało badanie nowe na miejscu. Najstaranniejsze poszukiwania i to w najniekorzystniejszym przypadku wykryły 21·4 gramów w 100 kilogramach owego żyta. Jest to więc 0·0214 procent. Mimo to następna odpowiedź ministeryum oświadczała stanowczo, że według opinii znawców wojskowych dana domieszka sporyszu jest dla zdrowia szkodliwa, przeto o przeprowadzeniu przedsięwziętej dostawy mowy niema. Równocześnie zaś zarządziło sprowadzenie *mąki* z Węgier do Galicyi. (Dlaczego mąki, nie żyta? Ażeby uniknąć niemiłego w tym razie porównania wartości odrzuconego żyta z węgierskiem. W mące zaś wynaleźć, iż zawiera ona mniej sporyszu niż zmielone na mąkę galicyjskie żyto — to za trudne chyba nawet na owo ministeryalne biuro, umiejące wyszukać 357 ziarn sporyszu). W ten sposób firmy wiedeńskich kupców ogarnęły dostawę dla galicyjskich załóg — a Galicya, sławna ze zboża, została odepchnięta, osadzona na koszu z zapasami, których wywieźć w całości nie może, bo murem stoją w koło cła i taryfy, a sprzedać u siebie jej nie wolno, bo ministeryum zabrania. Wobec takiego faktu położenie stało się iście rozpaczliwe. Skoro żyto nasze, znakomicie na walcach oczyszczone, jest szkodliwe dla zdrowia — to cóż mówić dopiero o plonach gospodarstw włościańskich, licho wymłóconych, niedbale oddzielonych od przymieszek a zmielonych na ręcznych, pierwotnych żarnach!

Śmierć, śmierć z każdego zakątka lada dnia wyjrzeć musi i uwolnić monarchię od biernej ludności *Baerenlandu*. Rojnica, straszna choroba nagminna, wywołana sporyszem, musi położyć kres wszelkiemu życiu ludzkiemu w Galicyi — przywracając potworną grozę średniowiecznych klęsk „ogniowej niemocy“ i „ognia św. Marcelego.“ A przecież jak Galicya—Galicyą, rojnicy (*ergotismus*) nikt u nas nie widział, nikt nie chorował od naszego chleba — owszem dużo giermańskich darmozjadów, próżnych troski o zdrowie, ciągnęło i ciągnie na ten chleb nasz, ergotyną rzekomo zatruty.

Wyjaśnienie tej sprawy stało się punktem narodowego honoru i koniecznego zapobieżenia ekonomicznej klęsce. Z jednej strony najlepsi znawcy wśród posłów sejmowych zajęli się wykazaniem, iż nie zbyt platoniczne pobudki wpłynęły na surowe osądzenie próbek naszego zboża, oraz, iż liczne nadużycia działy się i dzieją przy oddawaniu dostaw dla armii; z drugiej zaś — naukowe powagi podjęły umiejętnie kwestyę sporyszową. Za normę przyjęto najwyższy procentowy wynik badań powyżej wspomnianych, a wolnych od wszelkiego podejrzenia, t. j. 0·0214%, bo okazało się, iż te sposoby, których pierwotnie użyli znawcy wojskowi w Tarnowie, były już jakościowo zawodne i niegodne uwagi a zgoła nie dawały liczbowego oznaczenia stosunku — nie były ilościowe. Prof. uniwersytetu krak. Rostafiński przytoczył orzeczenie dwóch znakomitych lekarzy wojskowych niemieckich, którzy twierdzą, że 1% sporyszu „jest naturalnie nieszkodliwy.“ Prof. uniw. lwows. Radziszewski również uznał 0.0214% sporyszu za nieszkodliwy; tem godniejsza zaś uwagi jego opinia, że w roku 1882 wezwany przez sąd karny do orzeczenia o wartości pewnego zapasu mąki, znalazł 0·05% (i to w mące a nie w zbożu, które przecież z otrębami traci część przymieszki) — i że załoga karmiona tak ocenioną mąką najlżejszego uszczerbku na zdrowiu nie poniosła. Nakoniec wydział lekarski uniw. Jagiel. w bardzo długim wywodzie naukowym stanowczo zaprzeczył, ażeby 0·01—0·02% sporyszu w *mące* (a nie w zbożu) nawet przy dłuższem użyciu mógł być szkodliwy. Tymczasem i w sejmie rzecz bliżej została rozjaśniona słowami namiestnika Galicyi, który jako przedstawiciel rządu oświadczył, iż zarzuty wystosowane przeciw administracyi wojskowej, że przez zakupno obcego zboża działa wbrew rozporządzeniu ministra wojny z 7 listopada 1885, są sprawiedliwe i „że tu i owdzie zachodziły pewne nadużycia ze strony organów wykonawczych, które surowo zostaną ukarane.“

Tak więc w niedługiej przyszłości — spodziewać się godzi — rolnictwo galicyjskie uwolnione zostanie od ciężkiego zarzutu, jaki padł na nie. Liczyć na to można, mimo hałaśliwego wrzasku, jaki podnoszą polakożercze pisma wiedeńskie, które uderzyły w dzwon alarmu i dopatrują w sprawiedliwych i szczerych krokach galicyjskiego sejmu zamach na godność ministra wojny. Szczęściem, zbyt wyraźnie przez dziury tej politycznej łataniny widać chciwe grosza postacie rumuńsko-wiedeńskich królów zbożowych.

LITERATURA I SZTUKA.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Zofia Urbanowska. **Księżniczka**, powieść uwieńczona nagrodą konkursową. Warszawa, Gebethner i Wolff.

W roku 1882 przełożone zakładów prywatnych żeńskich m. Warszawy powzięły myśl uczczenia pamięci Pauliny Krakowowej przez wydawnictwo jej imienia. „Za jedno z potrzebniejszych uznano dziełko w formie powieści lub pamiętnika, przedstawiające obraz dziewczęcia i wzór dojrzałej kobiety na tle stosunków społecznych, potrzeb chwili bieżącej i wymagań zdrowo pojmowanego postępu... Kobieta przedstawioną być miała na polu właściwego jej działania w rodzinie lub poza jej obrębem, miała posiadać wady i ułomności bądź wrodzone, bądź z wychowania, bądź ze szkodliwych wpływów pochodzące, ale idąc przez życie nie wyjątkowe lecz powszednie winna uczyć się, jak pojmować swoje obowiązki itd.“

Komitet konkursowy, ogłaszając ten program razem z powieścią, uczynił wszystko, co mógł, aby wartość jej artystyczną obniżyć. Pani Urbanowskiej przysłużył się on tak, jak nauczyciel malarstwa, który obok pięknego obrazu swego ucznia— umieścił wykreśloną przez siebie perspektywę tegoż malowidła. Wówczas, patrząc np. na głowę cherubina, myśli się mimowoli: „Rozumiem, to kółko z trzema kreskami!“

Autorce wprawdzie udaje się niekiedy siłą talentu zatrzeć w czytelnikach pamięć kresek i kółek komitetu; na krytykę jednak wkładają one obowiązek podwójny: *Księżniczka* musi być ocenioną nietylko, jako utwór sztuki, ale—z równą jeśli nie z większą ścisłością—jako obraz pewnych dążności, jako dzieło *wychowawcze*. Wobec zamierzonego w niem wcielenia ideałów społecznych i „zdrowego“ postępu żadna ocena nie zdołałaby zapewne utrzymać się na gruncie czystej estetyki.

„Obraz dziewczęcia“ zjawia się tu w postaci panny Heleny Oreckiej—córki podupadłego i coraz bardziej upadającego szlachcica p. Marcina, którego „Spółka rolników nad...skich“ zrobiła agentem naszym w miasteczku M. nad Wisłą. Ojciec Helenki jest takim wzorem biernej zacności i niedołęstwa, jakie spotkać można tylko wśród dogorywających dzisiaj niedobitków szlachetczyzny, pozbawieni praw wyjątkowych — podobnymi są do pnącej się rośliny, której odjęto podporę; z trojakiej broni: korda, kielicha i różańca pozostała im tylko ostatnia. Wyobrażenie przywileju stało się mytem i przybrało nazwę opatrzności, od której ciemne i niedołężne umysły żądają też stałej i bezpłatnej opieki. W spółczesnem piśmiennictwie naszem niema prawie ani jednego talentu, któryby typów podobnych nie przedstawiał. P. Urbanowska przeto drogę miała już utorowaną i dla tego może zapędziła się cokolwiek za daleko: p. Marcin nie jest tylko niedołęgą, lecz często skończonym idyotą. Żona tego szczątkowego szlachcica odznacza się wielką dbałością o swoje nerwy i gorącem przywiązaniem do córki, którą chce wydać za mąż, jaknajkorzystniej. „Jedyna córka państwa Oreckich miała w sobie po trosze z charakteru obojga rodziców. Z ojca wzięła nieograniczoną wiarę w ludzi i serce pełne współczucia dla ludzkiej niedoli; z matki wytworność, wrażliwość nerwową niemal i wstręt do wszelkiego trudu,“ gdyż od dzieciństwa prawie „odsuwano od niej trud wszelki... wychowaniu jej brakło zupełnie gruntu realnego.“ O bliskiej ruinie majątkowej ojca nie wiedziała nic aż do chwili ostatniej. Gdy ta nadeszła, Helenka postanowiła własną pracą podźwignąć z upadku dom rodzicielski. Psychologiczne uzasadnienie tych zamiarów widzi autorka w jej miłości do obojga rodziców. Pan Radlicz bogaty przemysłowiec a zarazem delegat „Towarzystwa,“ który zjeżdża do M. dla odebrania ksiąg rachunkowych od p. Marcina—staje się duchem opiekuńczym bohaterki. Wziąwszy ją z sobą do Warszawy, umieścił we własnym „kantorze nasion,“ jako skromną i skromnie wynagradzaną pracownicę. W domu pp. Radliczów rozpoczyna się moralne odrodzenie Helenki. Jeżeli przebieg tego odrodzenia przynosi zaszczyt psychologicznym zdolnościom autorki, to wobec otoczenia młodej pracownicy nie daje dobrego świadectwa o zmyśle spostrzegawczym, i zbyt często ukazuje czytelnikom niezamalowane „kreski“ komitetu konkursowego. Autorka zanadto gorliwie gromadziła „przeciwności życia,“ pod wpływem których „młode dziewczę“ miało się uczyć, „jak pojmować swe obowiązki itd.“ Nie mówiąc o takich dolegliwościach jak „szare mydło,“ którem wszyscy mieli się myć w domu tak bogatego przemysłowca, nie mówiąc o *pierwszym* obiedzie (niedzielnym) na którym zaraz Helenka spotkać musiała i „sos cebulowy“ i „kiełbasę z kapustą“—cała rodzina Radliczów — pomimo jej szlachetności — jest w istocie trudną do zniesienia gromadą katonów i katonek. Nadewszystko p. Ra-

dliczowa („wzór dojrzałej kobiety“ komitetu konkursowego) grzeszy pod tym względem przesadą. Przed wyjazdem swym z domu rodziców Helenka była na jakimś balu w sąsiedztwie, gdzie, spotkawszy pewnego „łowca posagów“—zrobiła sobie z niego naprędce ideał. Po przybyciu do Warszawy poznała znów drugiego młodego mężczyznę—Radlicza—syna. Sprawił na niej zrazu wrażenie bardzo nie miłe—skończyło się jednak na tem, że go pokochała. Stopniowe wyrugowanie z serca bohaterki jej dawniejszego ideału i wprowadzenie tam nowego mieszkańca—jest najwymowniejszem świadectwem autorskich zdolności p. Urbanowskiej. Powstanie nowego uczucia, jego bezwiedne kiełkowanie w sercu Helenki, jego walka z miłością dawniejszą i z uprzedzeniem początkowem do bohatera—nie pozostawiają nic do życzenia. Autorka umiejętnie wyzyskała wszystkie efekty i wpływy zewnętrzne, wszystkie „uczucia posiłkowe“ miłości—często nawet ze szkodą niezbędnej logiki wypadków. Tak np. jakiś nicpoń czyhający na życie Andrzeja (bohater) jest postacią *przyklejoną* do opowiadania, ale, budząc *obawę* w sercu Helenki o to życie, stał się on niezbędnym czynnikiem, jak rozwoju tak i uświadomienia się jej miłości.

Po paroletnim pobycie u Radliczów, ku końcowi jej moralnego przeobrażenia — ojciec bohaterki został zagrożony licytacyą ostatniego kawałka ziemi i domu, jaki posiadał w M. Nastąpiło to głównie dzięki jego nieopatrzności i niedołęstwu, które gwoli tradycyi przywykliśmy nazywać „dobrem sercem.“ Córka, zawiadomiona o niebezpieczeństwie, postanawia ratować rodziców. Wierzycielem ojca i przyszłym nabywcą jego chudoby — jest niemiec — Ofman. Walka więc z nim przestaje być zwykłym zatargiem o własność prywatną i przybiera niejako charakter obowiązku społecznego, obowiązku, który spełniać i rozumieć nauczyła się Helenka u Radliczów. Wędrówka młodej dziewczyny po niesumiennych dłużnikach ojca—z prośbą o zapobieżenie jego nieszczęściu, bohaterskie jej wysiłki w celu znalezienia obrony na drodze prawnej—służą autorce za tło ogólne nietylko do okazania zupełnie już rozwiniętej i przeistoczonej dumy Helenki, ale i do wypowiedzenia szeregu społecznych i filozoficznych poglądów. Pod względem artystycznym ta część opowiadania obfituje w efektowne szczegóły i... naciągane sytuacye. Wszystkie usiłowania bohaterki pozostają bezowocnemi. Zawiadomiony o ich przebiegu Andrzej pospiesza (?) z pomocą—w chwili, gdy katastrofa prawie się już rozpoczęła.

Pod względem tendencyi *Księżniczka* jest apoteozą pracy organicznej—w przeciwstawieniu jej do polityki zbrojnego oporu, polityki, której zamierającym już i abdykującym zresztą przedstawicielem jest stary i ślepy dziadek Radliczów. Młodsze i najmłodsze pokolenie tej rodziny—uosabia, przeciwnie, kierunek pokojowy. Radliczowie, ojciec i syn, matka i trzy córki są idealnymi wykonawcami tego programu (?), którym tak często mieszczaństwo robiło i robi akcyę dobrze procentującą. Postawienie tej cichej walki na gruncie międzynarodowym (Ofman) wyraźniej zakreśla jej cele i czyni ją sympatyczniejszą. Zarzucić by można było autorce, iż za mały nacisk położyła na oświatę ludu. Mieszkająca na wsi, najstarsza córka Radliczów postanawia wprawdzie uczyć dwoje chłopskich dzieci, ale nie wcześniej aż kiedy ich ojciec (wspomniany wyżej nicpoń, czyhający na życie Andrzeja) spalił zabudowania dworskie, mszcząc się za wydalenie go ze służby. Zakres działalności—za szczupły, pobudki jej—zanadto niezwykłe, pora—spóźniona. Niemniej—na potępienie (ze stanowiska tendencyi) zasługuje w naszych pisarzach owa, słabość do przedstawiania w różowem świetle stosunków dworu do chaty. Warcholstwo i wichrzycielskie dążności chłopów są tam zawsze jedynym powodem ich niezadowolenia. W obrazkach tego rodzaju przebija się sławna nasza teorya „braku gruntu;“ z podobnem jej wcieleniem nie po raz pierwszy spotykamy się już w tym roku (ob. powieść Wołowskiego *Był Żydem*).

Nakoniec—ponieważ powieść ta miała być podręcznikiem cnoty—zwrócę tu uwagę na jedną jej wadę pedagogiczną. Autorka, potępiając przez cały czas lenistwo i zbytnią ufność w miłosierdzie boże, z niepojętą niekonsekwencyą ośmiesza własny swój pogląd. P. Orecki, który w najkrytyczniejszej chwili swego życia nic absolutnie nie robił—i tylko z uporem maniaka odmówił koronkę do *przemienienia pańskiego*—zostaje najniesłuszniej uratowany—cudzą pracą, gdy tymczasem Helenka, która cudów wytrwałości dokazała—nic a nic prawie zrobić nie mogła bez pomocy *dei ex machina*—t. j. młodego Radlicza.

M. Bohusz.

Koźmian Stanisław (1811—1885). Poznań, Leitgeber i Sp. 1886.

Z książką tą, znaną w części z *Przeglądu polskiego*, gdzie była pomieszczoną, musimy się liczyć, bo podaje nam wiadomości z najbliższego otoczenia Koźmiana i przytacza niewydaną dotychczas korespondencyę jego z Krasińskim. Po za tem jednak jest to panegiryk dla Koźmianów, budzący tylko niesmak. Wyniesiono tu na piedestał p. Stanisława, zarzucono togę mędrca na pisarza miernych, bardzo miernych zdolności, tendencyjnego, zacofanego. Nie będę opowiadał historyi jego życia ani rozwijał jego płodnej, ale nie twórczej działalności. Jest to najdojrzalszy okaz konserwatysty zacietrzewionego, skostniałego w dogmatyzmie.

Dziwnie tacy ludzie do siebie podobni w Warszawie, w Poznaniu, w Krakowie. Stańczycy to ich posiew najlepszy, najrozumniejszy. W żyłach Koźmianów płynie jeszcze krew starej gwardyi konserwatystów. Wprawdzie mówi biograf Stanisława Koźmiana, że krew jego niebieska zabarwiona już trochę atramentem, ale ja widzę w nim nieodrodnego potomka Koźmianów, pochodzącego z prostej linii od zaciekłego, zacofanego klasyka, szlifierza *Ziemiaństwa*. Każdy zachowawca musi piastować jakiś wyższy urząd, St. Koźmian wysługiwał się zrazu lordom angielskim na stanowisku sekretarza „Towarzystwa przyjaciół Polski,“ pisząc mowy dla członków parlamentu i artykuły do gazet zagranicznych w sprawach emigracyjnych, później został prezesem „Towarzystwa przyjaciół nauk“ w Poznaniu i był wiecznie starym prezesem. W literaturze znanym jest Koźmian jako autor dzieła *Anglia i Polska* i jako tłomacz Szekspira. Biograf podnosi go wysoko jako współredaktora *Przeglądu poznańskiego*; zwłaszcza jego krytyki literackie mają być „arcydziełem“ tego kunsztu—w rzeczywistości zaś są tak koteryjne i zaśniedziałe, jak cały *Przegląd poznański*. Miał Koźmian posiadać olbrzymią pamięć, czego dowodzi to „iż od 1 stycznia do 31 grudnia bez zatknięcia (?) wymieniał przypadającego na każdy dzień—patrona...“ a nadto równie dobrze pamiętał wesołe lub żałobne aniwersarze wszystkich krewnych, przyjaciół a nawet dalszych znajomych. Do wielkich „wyjątkowych“ zalet Koźmiana zalicza mu także i to, że „obiaduje u największych dostojników, a jego piórem snują się pierwszorzędne nazwiska.“ Całe to życie dworskie Koźmianów, Morawskich, Chłapowskich itd. wydaje mu się życiem błogosławionych: „Opisującemu ówczesne stosunki—powiada (str. 495)—raz po raz nasuwa się porównanie z *życiem pierwszych uczniów Chrystusa po Jego męce...*“

Z całej książki rozwlekłej i nudnej, jak te zapiski Koźmiana, z których czerpie autor, nie wiele można wycisnąć zdrowych myśli. Dość powiedzieć, że poglądy Koźmiana są ideałami dla jego biografa. Z drobiazgów tego „hreczkosiejstwa“ literackiego podnieść należy stosunek Koźmiana do Krasińskiego, skreślony na podstawie korespondencyi. Biograf jego mówi o „zbawiennym“ wpływie obu przyjaciół; my widzimy szkodliwe oddziaływanie wzajemne. Koźmian mroził duszę poety wiarą dogmatyczną, Krasiński zarażał przyjaciela mistycyzmem i mimowoli popychał do naśladownictwa w sztuce oddlewania wierszy. Obaj, ulegając niewidomym wpływom duchowieństwa, tak zagrzęźli w bigoteryi, że Krasiński dziękuje za modlitwę Koźmiana na intencyę chorego synka (Adzia), i obiecuje ze swej strony modlić się o zdrowie dla matki Koźmiana. „Ty za Adzia ja za matkę Twoją — pisze Krasiński — takiemi wstęgami prędszemi, jak druty elektryczne, bo z ziemi do nieba przeciągniętemi, wiążmy się...“ Przyjaźń ta była—jak się okazuje z listów—serdeczną i głęboką. „Kochaj przyjaciela—pisze do Koźmiana—który z głębi serca cię kocha ową instynktową, roślinną, rodzinną miłością pierwszych lat, wspomnień, wrażeń, koleżeństw życia, nieodnalezialną już później w dalszych żywota rozwojach.“

Tyś mnie wielkością swego zbawił serca
Ty byłeś dla mnie widomym aniołem
Aniołem w duchu, i w prawdzie, i w czynie—
Opieką Bożą—w człowieka postaci
Bratem niebieskim pośród ziemskich braci,
Tarczą, obroną, czemśiś nienazwanem,
Za co dziękując przyklękam przed Panem
I proszę Pana: Niech tobie zapłacil...

Ten przyjacielski stosunek autora *Nieboskiej* do Koźmiana jest tu dokładnie rozwinięty.

Z.

JĘZYKOZNAWSTWO.

Vytautas. **Rzut oka na starożytność narodu litewskiego.** Petersburg, 1885 r.

Nie ze względu na specyalistów, lecz mając na uwadze ogół żądny oświecenia, postanowiliśmy ostrzedz czytelników przed bałamuctwami, okraszonemi erudycyą autora, który, mimo znajomości litewszczyzny, zamiast oświecić nas o zwyczajach, obyczajach i mowie dawnych litwinów, bogatą swoją naukę zużywa na tworzenie dziwacznych hipotez. Wprawdzie były czasy, kiedy genialni nawet pisarze w starożytnych asyrach widzieli przodków słowian, wywodząc imię Nabuchodonozora od *ne boh odno car* (!), dziś jednak wobec badań ścisłych, etymologia podobno niewielką odgrywa rolę; boć podobieństwo brzmienia wyrazów nic o ich znaczeniu stanowić nie może.

Zgadzamy się, że znajomość litewszczyzny dla lingwisty słowiańskiego jest niezbędną; nie sądzimy jednak, aby wiedza owa winna być zużytkowaną w ten sposób, jak to autor czyni; trudno nam bowiem uwierzyć, że bajeczny Zamolksys, niby wieszczek u starożytnych i niepewnego rodu getów, którego p. V. nazywa Geboleidzisem czyli Gawoleidzisem (t. j. życiodawcą), był litwinem, a ucząc Pytagorasa o nieśmiertelności duszy tudzież przejściu jej w ciała zwierzęce, teoryę tę za pośrednictwem ucznia swojego wśród greków rozpowszechnił. Skąd autor wie, że newrowie i budynowie, wspominani przez Herodota, stanowili związek ludów litewsko-prusko-lechickich, mieszkających na pomorzu baltyckiem, ponieważ zatoka frysztacka zowie się po litewsku *Nerunga*, t. j. wrota nerów—od tego niemieckie Nehring albo

Nährung (!). Dowiadujemy się dalej, że druga część wyrazu swo-*boda*, jest pierwiastkiem równym litewskiemu *bodas* i sanskr. *budh*, od czego nazwa *buddhy* (mędrca) pochodzi. Dowodzi to, iż p. V. mimo biegłości w języku litewskim, nie ma dokładnego pojęcia o powstawaniu form wyrazowych czyli morfologii porównawczej. Pominąwszy liczne dziwactwa w książeczce tej rozsiane, podziwiamy jednak śmiałość autora, który w nazwach słowian połabskich, zwłaszcza w obotrytach i wilkach upatruje początek litewski. Czemże więc są zabytki języka tych plemion, zachowane w słowo-zbiorach: Henninga, Pfuhla itd., na którym to materyale znakomity badacz August Schleicher opracował gramatykę połabską. Świadectwa zresztą Adama Bremeńskiego, Helmolda, Eginharda, liczne dyplomaty arcybiskupstwa hamburskiego, bremeńskiego itd. jednozgodnie przemawiają za słowiańskiem pochodzeniem obotrytów i wilków.

„Miasto Kraków — mówi p. V. — jest wspólnego miana z litewskimi: Krokałaubis (Krakopol), Krakiai (Kroki), Krakinavas (Krakinów).“ Nazwy rzek: Łaby (Elby), Wisły i Odry są zdaniem p. V. czysto litewskie; *łabas* bowiem znaczy dobry, *łobis*—bogactwo, a *vysłus*—żyzny, urodzaj, *veisle*—ród, rasa, *audra*—burza, choroba. „Te nazwy dowodzą—twierdzi autor—że przed osiedleniem się lachów i niemców nad Wisłą, Odrą i Łabą, mieszkali litwini, którzy tym trzem rzekom nadali imiona litewskie.“

O ile wiemy, pierwszy p. V. odkrycie to światu obwieścił. Co do Krakowa, moglibyśmy przytoczyć setki podobnych nazw, w obcych nawet niesłowiańskich językach, jak to już uczynili Szafarzyk i Maciejowski, lecz pracę tę uważamy za próżny wysiłek wobec faktów, o które toczyć spory już się nie godzi. Z tych przeto powodów, w harcach p. Vytautasa na litewskim koniku, widzimy jeno lekceważenie nauki ścisłej i gruntownej. Scytya Herodotowa stanowi mętne w badaniach dziejowych jeziorko, lubo wielu już, łowiąc w niem żaby, głosiło przed światem, iż mają pełną sieć ryb. Szkoda, że autor zdobytą wiedzę zmarnował, puszczając się na manowce etymologiczne. Może przed kilkudziesięciu laty praca p. V. zwróciłaby jakąś uwagę, dziś jednak jest spóźnionym nader płodem bujnej i nieumiarkowanej wyobraźni.

Justyn Feliks Gajsler.

POEZYA.

WIECZÓR.

Już zmruża powieki
Słoneczne dnia oko,
Widnokrąg daleki
Jak zlany posoką!
Gdzie niebo się krwawi
I płonie jak żar,
Sznur ciągnie żórawi
I dźwięczy ich gwar...

Gwar mdleje, sznur tonie
W powietrzne gdzieś beznie,
I niebo w tej stronie
Już gaśnie i bladnie;
Mrok spada na chaty,
Na pola, na bór
I księżyc pyzaty
Popatrzał z za chmur,
Na stawu topiele
Garść cisnął promieni:
Po wodzie się ściele
Szlak z drogich kamieni,
I mruga i nęci
Świetnością swych drgań,
Nie oprę się chęci
Puszczenia się nań...
Na tor ten zaklęty
Już łódź mię poniosła,
Nie woda — dyamenty
Wciąż sączą się z wiosła!
Czy w górę, czy w ciemną
Głąb' zwrócę wzrok mój —
Nademną — podemną
Migoce gwiazd rój,
Jak niebian zrenice
Patrzące ciekawie,
I dwa lśnią księżyce:
Ten w górze, ów w stawie.
Mnie krągiem obwodzi
Kulisty ten sklep —
Zawisłem w mej łodzi
Pośrodku dwóch nieb!
Więc patrzę po stropie:
— Jak przyszłość wysoko!...
To w toni wzrok topię:
— Jak przeszłość głęboko!...
Któż z głębin tych zorze
Wyłowi w swą sieć?
Któż wzniość się tak może
By gwiazdy te mieć?
I smutek mię gnębi,
Żem dziecię przedświtu —
Nie sięgnę do głębi,
Nie wzlecę do szczytu,
Lecz w nocnym zamierzchu
W nieznaną gdzieś dal
Ja płynę po wierzchu
Zdradliwych tych fal;
Że zanim promienna
Zaświtasz, jutrzenko,
Głębina bezdenna
Pochłonie czółenko...
O, błyśnij-że liczkiem
Ze złota i róż,
Choć jednym promyczkiem
Zaświtaj nam już!...

Włodzimierz Wysocki.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Udręczenie muzyczne. — Artyzm Warszawy. — *Wesele Figara.* — Dziwny fakt. — Wychowanie francuskie. — Nasza wrażliwość. — Odezwa w sprawie Kraszewskiego. — Kto powinien go wykupić. — Gdzie autorowie cenieni przez arystokracyę. — Tani sposób. — A. Gostkowski i sposobność wypłacenia mu długu wdzięczności.

W moich nocach bezsennych, gdy leżąc na łóżku po kilkunastu godzinach pracy, strudzony i roznerwowany błagałem o litość przez ściany, sufit lub podłogę niewidome ręce, wygrywające na fortepianie różne „sztuczki,“ doznawałem stale jednej pociechy: Warszawa jest muzykalną, skoro na te przyjemności tak dużo nocy zużywa. I wtedy chętnie poświęcałem mój sen artyzmowi, który mnie z równą wytrwałością prześladował w każdym zamieszkiwanym domu, ścigał jękiem katarynek na ulicach, nosowemi nuceniami w miejscach publicznych i zebraniach prywatnych. Od czasu zaś do czasu półmilionowa ludność naszej stolicy śpiewała chórem jakąś polkę, walc lub wesołą aryjkę, jak gdyby niewiernych chciała tym zbiorowym dowodem przekonać o swych muzykalnych upodobaniach. Wobec takich faktów nie mogłem wątpić. Często też uczuwałem głęboki żal do dyrekcyi teatrów warszawskich o to, że ona nie wyzyskuje i nie zadawala tego pięknego nastroju, że na tak skąpo darzy „prawdziwą sztuką,“ o którą wszyscy upominają się, której łakną. Najwyższym bogiem w świątyni tej „prawdziwej sztuki“ jest dla mnie Mozart. Czemuż nie wystawiają jego oper— *Don Żuana, Wesela Figara, Fletu zaczarowanego?* Czemu ciągle tylko słyszymy o zamiarach, o obietnicach wielkiej uroczystości artystycznej? Przecież Warszawa, ta muzykalna Warszawa dusiłaby się w tłoku przy kasie teatralnej — ona, która na łóżku w nocy torturuje ludzi swą muzyką?

Długo tak smutne rzucałem pytania — nareszcie ukazała się nie reporterska obietnica, ale afisz, rzeczywisty czerwony afisz, zapowiadający *Wesele Figara!* Ach, czemuż — pomyślałem sobie — nie posiadam przywileju zdobywania biletu na pierwsze przedstawienie! Czemu nie mam albo mocnych łokci i żeber, albo wpływowych „stosunków,“ albo... Muszę czekać, aż przejdą wybrańcy tego świata.

— Pan zapewne masz dziś krzesło w teatrze — zagadnąłem jednego z nich.

— Co to? *Wesele Figara?* O, nie, dla mnie ta figa już się zbyt odcukrowała.

Tępy człowieczyna, ale potrzebny, bo ustępuje miejsca innym przy źródle, z którego pić nie chce a z którego oni pić pragną. Jeżeli takich więcej jest w Warszawie... Pędź latawcze redakcyjny do kasy Teatru Wielkiego i kup mi bilety.

Było to o godzinie 4 po południu.

Wraca — przynosi. Nie wierzę własnym oczom. Na pierwsze przedstawienie *Wesela Figara* można po południu jeszcze dostać biletów? Co to znaczy? Co to za dziwny fakt w mieście, które śpiewa z pamięci całego *Gasparone'a*, którego wszystkie domy brzmią dniem i nocą, jak pudła grające?

W sali teatralnej widzę rzadko zajęte krzesła — loże przeważnie puste. Niepodobna się łudzić — dla większości Mozart jest już zbyt odcukrowany.

Za co ja tyle wycierpiałem w bezsennych nocach, gdy przez ściany, podłogę, sufit lały się na mnie strumienie polek, walców, kontredansów, wyjątków z *Carmeny, Gasparone'a, Marty, Trubadura?* Za co cierpi tylu męczenników fortepianowej tyranii? Bezpłodna ofiara!

I oto znowu dziedzina życia, w której okłamujemy się frazesem. *Wesele Figara*, koncert symfoniczny, występ słynnego skrzypka Saureta — wszystkie te uczty artystyczne, przyjęte bardzo chłodno, świadczą, że t. z. „prawdziwa sztuka“ spoczywa dotąd na naszych ustach, ale nie w sercu. Zjawisko to zaś, zestawione z innemi, pokrewnemi, wysuwa na widok znaną właściwość natury naszej, lubiącej myśli i uczucia płytkie. W filozofii—religijny komunał, w historyi—czcza przechwałka, w socyologii—przesąd, w sztuce—wesołe połechtania, czy z takim nastrojem i gustem można dźwignąć tę dolę, którą dźwigać musimy? Wsłuchawszy się pilnie w tony umysłowości naszej, dostrzeżemy w niej uderzający brak poważnych. Dziwnie podoba nam się lekka operetka życia; zamykamy oczy przed jego dramatem, wzdrygamy się przed jego tragedyą. Jeżeli wszystkie bóle i straty nie nauczyły nas powagi, to co nam ją da? Co nas odzwyczai od ślizgania się po wierzchu wiedzy i sztuki, od rozcinania najżywotniejszych zagadnień społecznych i naukowych tępym ogólnikiem lub błyskotliwym dowcipem? Bodaj ta Francya, która przez tyle wieków była naszą guwernantką i modniarką, zbankrutowała na wszystkich swoich *articles de Paris* za to, że w nas zaszczepiła swoją blagę, swawolę, trzpiotowatość, płytkość, nie obdarowawszy jednocześnie swoim rozumem i talentem! Obdarci, w dziurawych butach, pogwizdując i trzaskając konceptem, smutnie wyglądają „francuzi Północy.“ Wesoła muza z rozprutą na boku spódnicą, dwuznacznik kapiący tłuszczem bezwstydu, gryząca żółć lub ostre szyderstwo — to jeszcze zdolni jesteśmy odczuć i zachwytem uczcić. Ale po za tą sferą drażniących wrażeń objawiamy przerażającą, martwą obojętność. Gdyby dziś Euklides ogłosił nam zasady geometryi, Bacon—nową metodę, Kopernik—nowy system, Mozart—*Don Żuana*—

pobieglibyśmy na kiermasz, na *Gasparone'a*, na bal panieński, na widowisko magiczne.

Nie miejcie do mnie żalu ci wszyscy, których bym istotnie skrzywdził, gdybym z tego oskarżenia nie wyłączył. W szarzyźnie większości odbijają się koła ludzi myślących i czujących, którzy w mrozach i wichrach, w walkach i cierpieniach dojrzeli, stwardnieli, spoważnieli. Ta nasza arystokracya duchowa stanowi cenny zaczyn przyszłości—w nią każdy obserwator patrzy, gdy nie wątpi, gdy opędza się rojowi złych wróżb. Czemuż wszakże i ta arystokracya tak wolno się rozmnaża! Ale ja wierzę w jej płodność, w jej liczne potomstwo, które będzie rzeczywiście i szczerze kochało prawdziwą naukę i sztukę. Żeby tylko tym pokoleniom przyświecało jasne słońce losu.

Światło takie ludzie dobrej woli pragnęliby zapewnić Kraszewskiemu. Wypuszczony z więzienia za kaucyą przebywa on obecnie w San Remo chory i rozbity, udręczony ciągle koniecznością powrotu do magdeburskiej twierdzy. Wobec tej chmury zawieszonej nad resztką życia znakomitego pisarza, rzucono myśl, ażeby społeczeństwo pokryło składkami kaucyę (wynoszącą około 12,000 rs.) i uwolniło go od dalszej kary, zwłaszcza że nie zobowiązał się do odpokutowania jej słowem honoru. Twórcą tego projektu jest Jeż, który w zacnym swym zamiarze zapomniał o trudnościach praktycznych. Kraszewski zasługuje na nową ofiarę—suma wykupowa nie jest wielką, ale jak ją zebrać? Gdyby Poznańskie nie było ziemią wyjałowioną, a Galicya skalistą—możnaby je powołać do tej roli. Niestety, wiemy, jak słabo tam odbija się każdy głos kwestarski. Pozostaje więc tylko droga ofiarności jednostkowej. Mamy możnowładców bogatych, dla których kilkanaście tysięcy rubli stanowi drobnostkę; czy którykolwiek z nich nie mógłby sam lub do spółki z innymi wykupić Kraszewskiego? Ha, ha, przeciągnęły się niezadowolone twarze! Bankier ucieka po wymówkę do ciężkich czasów, arystokrata—do zasad, które Kraszewski musiał gdzieś i kiedyś obrazić. Powiadam: musiał, bo trudno wyobrazić sobie pisarza, któryby w świecie herbowych pałek nie zakręcił złą wonią jakiegoś dostojnego nosa. Widziałem już takie nosy, zakręcone na wydawców genealogii. We współczesnej literaturze polskiej nie znam autora, za którego by arystokracya dała 12,000 rs. Bo gdyby nawet p. Sienkiewicz został wzięty w jasyr przez niewiernych, wątpię, czy by go nasi hrabiowie i książęta za taką sumę wykupili. Prędzej by okazali taką wspaniałomyślność Gebethner i Wolff. Po uwięzieniu Kraszewskiego czytałem w pismach doniesienia o gotowości paru magnatów do ofiar pieniężnych. Wtedy odbywała się zapamiętała licytacya dobrych chęci. Dziś wszystkie te głosy umilkły i schowały się do— kieszeni.

Tego czułego organu zbyt mocno dotykać nie należy nawet u tych ludzi, u których on spęczniał nadmiernie; więc zamiast go przecinać dalszym wywodem, wskażę możnowładcom prosty i tani sposób dopomożenia Kraszewskiemu: posiadają oni rozgałęzione i wysoko sięgające stosunki—niech ich użyją dla wyjednania mu zupełnej amnestyi. Wszakże tym sposobem zdobyto jego urlop...

. . . .

Przed kilku tygodniami zmarł w Lublinie nauczyciel tamtejszego gimnazyum Aleksander Gostkowski, zostawiwszy rodzinę w niedostatku. Byli uczniowie tego zacnego przewodnika zbyt wiele mu winni i zbyt dobrą zachowali o nim pamięć, ażeby nie dojrzeli w swych sercach obowiązku wdzięczności, gdy im przypomina ją smutny los sierot. Każdy z nich odczuje chęć znajdzie właściwą drogę spłacenia długu zmarłemu, jeżeli tylko o sposobności ku temu się dowie. Ponieważ zaś głos *Prawdy* nie do wszystkich sięgnie, spełnią czyn obywatelski wszystkie pisma, które naszą wzmiankę w kole swych czytelników rozszerzą.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Reformy w pismach prowincyonalnych. — Solidarność.. brudu. — Energia malejąca. — Spółki spożywcze. — Sposoby na dyabła. — Nowa metoda badania chorych. — Rozumny pomysł.

Od nowego roku dwie gazety prowincyonalne — *Lubelska* i *Radomska* zmieniły redakcyę i zaprowadziły pewne zmiany w układzie i kierunku. Właściwie co do *Gazety lubelskiej* powinienem dodać, że kierunku żadnego nie miała, treść zaś jej zależała wyłącznie od przypadku. Zdarzało się czasem, że pomieszczała korespondencye dobre, że poruszała sprawy żywotne, nawet nieraz drażliwe, ale widocznem było, iż czyni to dlatego, że ktoś przysłał lub przyniósł artykuł, którym redakcya rada była zapchać puste łamy pisma. Numery tegoroczne robią dobre wrażenie, staranność w układzie świadczy o dbałości redakcyi, która przemówieniem do czytelników dowodzi, że rozumie znaczenie organu prowincyonalnego. Zakres działania prasy miejscowej szczupły jest, ale ważny niezmiernie i odrębny zupełnie od charakteru pism ogólnych. Redakcya *Gazety lubelskiej* pojmuje skromne, ale pożyteczne zadanie swoje i nie wdając się w niepotrzebne gadulstwo, oświadcza, co i jak robić zamierza. Nie wywiesza ona żadnego sztandaru i nie zalicza się do żadnego obozu, co, jak sądzimy, nie znaczy, że nie będzie miała żadnych przekonań, ale tylko, że rozstrząsanie spraw zasadniczych zostawia innym. W piśmie prowincyonalnem kierunek stoi rzeczywiście na drugim planie, idzie tylko o to, żeby nie rzucał on fałszywego światła na fakty i sprawy życia miejscowego. Spodziewamy się, że organ lubelski wymaganiom tym odpowie.

Chciałbym, ale nie mogę wierzyć, że odpowie im i *Gazeta radomska*, starannie bardzo i umiejętnie redagowana dotychczas przez p. Z. Słupskiego. Żegnając się z czytelnikami swymi b. redaktor szczerze objaśnia, dlaczego dalej pisma prowadzić nie może. Z objaśnienia tego widać, że właściciel *Gazety* nie był widocznie z niej zadowolony. Pisma warszawskie głoszą już dziś, że *Gazeta radomska* ożywiła się; rzeczywiście, jeżeli mianem tem nazwiemy niesmaczne koncepty reporterskie i kuryerkowe plotkarstwo. Innej zmiany, ani na gorsze ani na lepsze, oprócz tej, nie widzimy.

Nietylko trudnem jest zadanie dziennika miejscowego, ale i ciężkimi warunki jego istnienia; liczyć się bowiem zawsze on musi z nałogami i uprzedzeniami parafialnemi. Niedawno kronikarz *Dziennika łódzkiego* skarcił w fejletonie jakieś miejscowe plugastwo, które zamiast cicho siedzieć, agituje teraz na szkodę pisma. Obrażone osobistości zbierają od znajomych zobowiązania, że ci *Dziennika* prenumerować nie będą. Dotychczas znalazło się w Łodzi 25 ludzi tyle nierozsądnych, w których względy osobiste lub dobrowolny pociąg do zsolidaryzowania się z brudem przemogły poczucie obowiązków obywatelskich. Agitacya taka pisma nie zabije i nie zaszkodzi mu nawet, ale wydaje świadectwo ubóstwa umysłowego t. z. inteligencyi łódzkiej.

Kiedy chodzi o spłodzenie głupstwa, potrafimy zawsze ujawnić spory zasób energii i zdobywamy się nawet na oryginalne pomysły, w innych za to sprawach po chwilowym przebłysku ożywienia safandulstwo odzyskuje swoją władzę i paraliżuje pożyteczne zamiary *Gazeta warszawska* podaje ciekawy przykład takiego szybkiego zamarzania energii. Zebrani na wybory radców Towarzystwa kredytowego, ziemianie płoccy postanowili zawiązać wzajemne stowarzyszenie ubezpieczeń rolnych. Projekt podpisało 180 wspólników, ponieważ jednak sporządzenie aktu rejentalnego wymagało pewnego czasu, ostateczną naradę i podpisy odłożono do dnia następnego. Na naradę ową zebrało się już tylko 14 interesowanych, a do podpisania aktu po usilnych staraniach zgromadzono jeszcze 12.

Od tej chwili upłynęło przeszło pół roku, spółka istnieje, ale dziś liczy zaledwie 100 uczestników. Gdzież się podziało 80 tych „nieobecnych?“ Machnęli ręką i poszli spać lub grać w karty, chociaż sprawa ta, którą odbiegli, nie jest żadnem poświęceniem dla ogólnych celów społecznych, ale dotyczy wprost kieszeni dezerterów. Jeżeli na głos wyższych wymagań jesteśmy głusi a na własną korzyść ślepi— to i cóż nas wreszcie poruszyć zdoła?

Jakkolwiek ślimacze niedbalstwo pełza po całem naszem ciele społecznem, to jednak najbardziej umiłowało sobie pobyt w Płocku. W mieście tem istnieje stowarzyszenie spożywcze „Zgoda,“ którego zarząd przez rok cały w pewnych odstępach czasu zwołuje na posiedzenie uczestników i nigdy w dostatecznej liczbie zebrać ich nie może. Naprożno *Korespondent płocki* woła: bądźmyż przynajmniej rozumnymi samolubami! — członkowie udają, że nie słyszą i na posiedzenie nie idą. Wszystkie prawie spółki spożywcze u nas prowadzą nędzny żywot, ale „Zgoda“ nie chce nawet wcale istnieć. Na ostatniem posiedzeniu, które zwołano wreszcie bez względu na liczbę członków, jednym głosem większości tylko zatwierdzono dalsze istnienie stowarzyszenia. Można dodać wprawdzie, że jeden głos stanowił również o tem, czy Francya ma być Rzeczpospolitą ale nie wielka to chyba pociecha.

Przed miesiącem odbył się w Warszawie zjazd przedstawicieli stowarzyszeń spożywczych. Panowie ci postanowili założyć wspólną agenturę, rozprawiali długo o tem, dlaczego instytucye tego rodzaju szczepią się u nas tak trudno itd. Ale nikt z nich nie zwrócił uwagi na najważniejszą przyczynę niepowodzenia, którą tkwi w fałszywem zrozumieniu zadania takich spółek. Teraz oto np. pisma pomieszczają sprawozdanie z działalności Bazaru spożywczego w Ujazdowce i chwalą go za to, że przyniósł uczestnikom znaczne zyski. Ubieganie się o te zyski, o wysoką dywidendę stanowi właśnie słabą stronę naszych spółek. Stowarzyszenia spożywcze mieć powinny na celu nie dostarczanie uczestnikom zysków, ale produktów tanich i w dobrym gatunku. Tam, gdzie wkłady wynoszą małą kwotę, dywidenda jest rzeczą podrzędną. Gonitwa za zyskiem zmusza zarząd do zakupywania nie tych towarów, które są lepsze, ale tych, które dają większy procent, w rezultacie zaś niema i zysku, bo uczestnicy zniechęcają się i przestają kupować w sklepach stowarzyszenia. Że tak jest, świadczy powodzenie, jakie mają stowarzyszenia spożywcze przy wielkich fabrykach, którym właśnie o dywidendę dla członków wcale nie chodzi. Przedstawiają one jeszcze i tę zaletę, że działają w zakresie ograniczonym, że znają dobrze potrzeby spożywców i nie wydają wiele na administracyę. Błędnem jest mniemanie, że zjednoczenie spółek przyniesie jakąkolwiek korzyść; produkty spożywcze należą do tych właśnie towarów, które nie powinny być zakupywane w wielkiej ilości, raz dlatego,

że nie mogą być długo przechowywane, powtóre, że dobroć ich w znacznej mierze polega na tem, żeby otrzymywać je wprost od producentów, nie zaś od hurtownych przekupniów. Zresztą szeroko rozgałęziona administracya kosztuje zbyt wiele i spełnia obowiązki swe niedbale; dlatego to towary w sklepach stowarzyszeń spożywczych gorsze są i droższe, niż u zwyczajnych kupców, a obiady w kuchniach tanich droższe i gorsze niż w opłacających wysokie patenty garkuchniach.

Orzeszkowa w ostatniej swej powieści p. t. *Dziurdziowie* opowiada tragiczną historyę wiejskiej lekarki, posądzonej o czary i zamordowanej w okrutny sposób. Znakomita autorka z przerażającą prawdą przedstawiła ten straszny dramat, odgrywający się w zapadłej wioszczynie białoruskiej i rozwiązanie jego w sali sądowej, rozwiązanie, po którem nie wiadomo kogo bardziej żałować: czy *niewinnej* ofiary, czy też *niewinnych* jej zabójców. Zupełnie podobny wypadek miał miejsce niedawno w powiecie mławskim. We wsi Tężewie żona kolonisty dostała pomieszania zmysłów. Głos powszechny uznał za przyczynę choroby „siłę nieczystą,“ którą sprowadziła i ulokowała w ciele chorej, niejaka Wronkowa, mająca, jak to było powszechnie wiadomo, bliskie stosunki z „niemcem“ t. j. z dyabłem. Gorliwe śledztwo wykryło nawet, że Wronkowa „zadała“ Brudzyńskiej „urok“ w piwie. Wskutek ogólnej narady bab wezwano czarownicę, żeby „odczyniła urok,“ kiedy zaś nie chciała tego zrobić, sąsiadki zaczęły ją bić po głowie warząchwiami, ponieważ jest to wypróbowany sposób na dyabła, który warząchwi najbardziej się boi. Wronkowa z ciężkiego pobicia w kilka godzin później życie zakończyła, szesnaście zaś bab, które przyjmowały udział w straszeniu „kusego,“ pociągnięto do odpowiedzialności sądowej. Czeka ich za to mniej lub więcej surowa kara, która jednak ani winnych, ani sasiadów ich nie przekona i przekonać nie może, dopóki wiara w dyabła będzie im głoszoną z kazalnicy, a wypędzanie jego odbywać z uroczystością ceremonii religijnej. Przed 10 laty, kiedym był studentem uniwersytetu, do stróża domu, w którym mieszkałem, przywieziono ze wsi jego „opętanego“ brata. Na drugi dzień sprowadzono z parafii św. Aleksandra księdza, który według opinii powszechnej był bardzo „skuteczny“ na dyabłów, i ksiądz ten potajemnie, w obecności kilku tylko uprzywilejowanych osób rozpoczął egzorcyzmy, kropił chorego święconą wodą, określał go święconą kredą i czytał specyalne, na ten cel przeznaczone modlitwy. Rozumie się, że chory pozostał waryatem.

Nietylko chłopi zresztą, ale i inteligencya nasza wierzy w nadzwyczajne przyczyny i cudowne leczenie chorób. W Radomiu cieszy się obszerną praktyką jakiś owczarz, uczeń sławnego „Łukaszka,“ który wynalazł nowy sposób badania pacyentów. Owczarz nie każe sobie nawet opowiadać objawów choroby, po prostu liże rękę pacyenta i na zasadzie tego przepisuje lekarstwo. Prawdopodobnie dowcipny ten pomysł dyagnozy zjednywa mu zwolenników, stanowi bowiem „specyalność“ nowego lekarza.

Czyż można dziwić się chłopu, że szuka pomocy u znachora, jeżeli jego „naturalni przewodnicy“ dają mu przykład, pomoc zaś lekarska jest na wsi prawie niedostępną? Prasa nasza sądzi, że przeciw znachorom najskuteczniej działać może policya, ja tu dodam tylko, że o owem egzorcyzmowaniu chorego na ulicy Wspólnej „dla porządku“ zawiadomiony był p. rewirowy, który wybór kuracyi najzupełniej pochwalił i poradził nawet, jeżeli leczenie nie będzie mieć skutku, wezwać „ponomara“ z ulicy Długiej, który także „jest bardzo chytry przeciw czorta“ i nieraz go już dobrze poturbował.

Dostarczenie ludowi pomocy lekarskiej najprędzej osłabi powagę znachorów i wiarę w czarownice, a nie mówiąc już o innych korzyściach, których nikt nie zaprzecza. Na podniesienie przeto zasługuje pomysł praktyczny kilku obywateli wołyńskich, którzy postanowili wnosić roczną składkę na utrzymanie stałego lekarza i namówili do tego włościan. Każdy dwór i każda gromada płacą po 25 rubli rocznie, apteka zaś w poblizkiem miasteczku zgodziła się odstępować stowarzyszonym lekarstwa o 30% taniej. Tego rodzaju związki powinny przybrać szersze rozmiary, żadnych bowiem przeszkód spotkać chyba nie mogą.

J. Nieborski.

CUDZE GŁOSY.

Gazeta toruńska pisze:

„Ks. proboszcz Hebel z Prątnicy pod Lubawą wziął udział we wspólnym obiedzie, jaki z okazyi jubileuszu odbył się tu na sali p. Goldstandta. O ile uroczystość ta była piękną i wspaniałą, o tyle jej zakończenie było dnia tego przynajmniej niegodnem. Rzecz miała się tak: Ks. prob. Hebel przyszedł z kieliszkiem swym do tutejszego sędziego okręgowego p. Kretschmera z temi słowy: „Pan pozwolisz, że trącę (?) z nim na zdrowie naszego Najjaśniejszego Pana.“ Na to sędzia Kretschmer odpowiedział: „Z panem trącić (?) nie mogę, gdyż pan jesteś katolikiem, a katolicy nie mają ani cesarza, ani króla.“ Gdy się ks. prob. Hebel na to słusznie obruszył, sędzia Kretschmer wstał i uderzył go w policzek. Że ks. Hebel nie dał żadnego powodu do takiej awantury, wynika z tego, że reszta towarzystwa, z samych niemców się składająca, oburzona była do najwyższego stopnia na Kretschmera, hurmem się na niego rzuciła, skórę potężnie wygarbowała i za drzwi wypchnęła. Sędzia miał ze sobą doga, ogromne psisko, podobno szczuł (tego jednak na pewno nie mogę skonstatować, bo naoczni świadkowie różnie opowiadają), dosyć, że pies, broniąc pana, napastował biesiadników i także kijami i butelkami oberwał.“

PRASA ROSYJSKA.

Warszawskij Dniewnik zamieszcza przytoczoną poniżej korespondencyę ze Lwowa, którą redakcya opatrzyła takim przypiskiem.

„Nie przywiązujemy szczególnej wagi do faktów, opisanych w niniejszej korespondencyi, lubo że pewne gawędki toczą się śród polaków galicyjskich, zda się być prawdą.“

A oto korespondencya:

„Niedawno odbyło się w Krakowie tajne zebranie agitatorów polskich, przeważnie studentów uniwersytetu. Zebrało się dosyć sporo młodzieży, lecz byli i ludzie dojrzali. Oto kilka wiadomości o owem zebraniu:

„Ponieważ patryoci polscy przekonali się, że Austrya zamyśla o czemś niedobrem, a mianowicie chce uwolnić się od polaków, oddając ich Rosyi, dlatego właśnie, że mają w Austryi wpływy przeważające, więc zebranie uważa za rzecz konieczną oprzeć się tym planom siłą i rozpocząć w tym celu organizacyę zbrojnego powstania; za pośrednictwem komitetu głównego we Lwowie i podległych mu komitetów prowincyonalnych zbierać ofiary, zakupować oręż, urządzać magazyny, przyspasabiać odzież wojskową itd.

Z obrad zebrania okazało się, że już istnieje komitet główny, złożony z pp. N. i NN., oraz że poseł NNN. złożył na ręce komitetu 10,000 złr., a za jego przykładem popłynęły ofiary od innych członków arystokracyi. Podczas zebrania poruszono kwestyę, że i pomiędzy lud należy wyprawić agitatorów; lecz na to zrobił uwagę jeden z obecnych, że się obawia, ażeby lud nie powitał wichrzycieli w ten sposób, jak niedawno wydarzyło się z lubownikami łowów (zebrali się aby zapolować, a lud, mianowicie ludność polska z okolic miasta Jasła. mniemając, że to powstańcy, w liczbie około 10,000 ludzi gotów był rzucić się na nich.)

Skutkiem tego propozycya była odrzucona. W zgromadzeniu brali udział reprezentanci uniwersytetów: wiedeńskiego. lwowskiego i krakowskiego, a również i inni ludzie. Krążą tutaj pogłoski, że w Krakowie było również zebranie krańcowych czerwonych w celu powstania przeciwko duchowieństwu, władzom itd.

W sejmie lwowskim zauważono wielkie wzburzenie i roznamiętnienie między posłami polskimi z powodu mającego jakoby nastąpić rozbioru Turcyi, oraz oczekującego polaków przeznaczenia. Można zauważyć jakąś gorączkową agitacyę i ruch niezwykły, a wszelakiego rodzaju wyjaśnieniom niema końca.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Stopień naukowy. P. Józef Nusbaum po obronie rozprawy p. t. *Materyały do organogenii owadów i robaków* otrzymał stopień magistra zoologii od uniwersytetu odeskiego.

Czytelnie bezpłatne w liczbie 25, znajdujące się pod kontrolą Towarzystwa dobroczynności z końcem roku 1884 liczyły 14.473 dzieł w 18,823 tomach. Czytających było 4,013, wzięli oni w ciągu roku 114,967 tomów. Szkoda, że wybór dzieł w tych czytelniach jest nieszczególny, i Towarzystwo dobroczynności zamało dokłada starań, ażeby komplet dzieł odświeżać i powiększać.

Prasa polska. We Lwowie od Nowego roku powstał miesięcznik *Przegląd społeczny*, pismo poważnie redagowane, które pragnie skupić około siebie żywioły demokratyczne i postępowe. W Kołomyi wychodzić zaczął tygodnik *Pomoc własna*.

Przemysł. Warszawska fabryka stali ma być przeniesioną do Ekaterynosławia.

Z literatury. Prof. literatury powszechnej w uniwersytecie kijowskim p. Pawłow tłomaczy i zamierza wydać w oddzielnym zbiorze celniejsze utwory literatury dramatycznej polskiej.

Budżet rosyjski. Dochody państwa w ciągu 9 miesięcy r. z. t. j. 1/13 października wynosiły 482,100,452 rs., były więc o 14 milionów wyższe aniżeli w odpowiednich miesiącach roku poprzedniego. Zmniejszenie dochodów nastąpiło w cłach o 6 mil. rubli, w akcyzie od trunków $5^3/_{10}$ mil. i od tytoniu 1 milion i od cukru 200,000 rubl. Przewidywany jest deficyt co najmniej w kwocie 27 mil. rubli, ponieważ wydatki w tym samym okresie uczyniły 509,941,478 rs.

Zjazd młynarzy poszedł utartą drogą, pp. obradujący nie mieli nic pilniejszego do zrobienia jak podanie petycyi o podniesienie cła od mąki zagranicznej do 30 kop. z puda.

Kasa oszczędności w Warszawie posiada wkładów na 1,616,112 rs. Niewiele, jeżeli porównamy ją z krakowską np., w której wkłady wynoszą 9 milionów guldenów. Jedną z głównych przyczyn tej różnicy jest nadzwyczaj zawiła manipulacya przyjmowania i wydawania wkładów.

Związek kolejowy. Powstał projekt złączenia wszystkich dróg żelaznych w Królestwie w jeden związek, lub też utworzenia dwóch grup kolej lewego i prawego brzegu Wisły.

Bibliografia. Dr. Piotr Chmielowski: *Zarys literatury polskiej z ostatnich lat dwudziestu*. Wydanie drugie, znacznie powiększone. Warszawa, 1886.

— O. Bujwid. *Z pracowni prof. Roberta Kocha*, Warszawa. Jest to sprawozdanie z naukowej wycieczki, w którem autor przedstawił wykłady słynnego badacza, dotyczące bakteriologii.

Rada dla „wilkołaków“ krytycznych. „Dla głupców najlepszym środkiem zyskania sławy jest napadać na ludzi talentu. Skorpion nie zostałby nigdy przyjęty do konstelacyi niebieskich, gdyby nie był ugryzł w piętę Herkulesa.“

Los redaktora. Ks. Radziejewski redaktor szląskiego *Katolika* wypuszczony został niedawno z więzienia, w którem przesiedział 2 miesiące, obecnie czeka go znowu 5 miesięcy aresztu. Strawa więzienna była tak licha, że ks. Radziejewski nie jadł jej wcale, z własnych pieniędzy zaś wolno mu było wydawać na dzień tylko 30 fenigów. Lekarz więzienny „życzliwie" radził biednemu redaktorowi, żeby korzystając ze sposobności, odbył „kuracyę głodową."

Instytut technologiczny w Petersburgu liczy 220 studentów polaków.

Konkurs. Towarzystwo farmaceutyczne warszawskie ogłosiło nagrodę w kwocie 150 rubli za najlepszą pracę w języku polskim z dziedziny farmacyi lub nauk przyrodzonych. O nagrodę ubiegać się mogą tylko farmaceuci urodzeni i zamieszkali w Królestwie. Przepisy pod adresem Towarzystwa nadsyłać należy przed 1 stycznia 1887 r.

Zmarli. Wiktor Imbriani, prof. estetyki w Neapolu, autor słynnego dzieła *Fame usurpate*, w którem występuje przeciw Goethemu.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Izyd. Grot. Od czasu, jak gardzimy tym brudnym szpargałem, nie obchodzi nas ani jego potwarz, ani jego kłamstwo. Garści takiego błota warszawskiego p. K. nie poślemy; objaśniamy Pana tylko, że wszystko to są bezecne łgarstwa, gdyż ani dr. K. nie redagował nigdy „Auf der Höhe" z Sacher Masochem, lecz inne tego tytułu pismo z Georgensem, ani nie pisywał w *Bresl. Nachrichten* przeciw słowianom itd.

A. R... tt. Jeżeli ktoś swoje światło chowa pod korcem, to można o niem mówić tylko na podstawie objaśnienia tych, którzy je widzieli. Tak właśnie my uczyniliśmy. Mamy „starać się" o tę książkę, którą autor przed wzrokiem publicznym ukrył? A to jak? Przecież chyba nie żyjemy w wiekach średnich i nie potrzebujemy z trudem zdobywać mądrość w kilku egzemplarzach rękopiśmiennych.

P. K. R. w Szczuczynie. Nabyć jej u nas nie można.

H. N. Geologia Trejdosiewicza—krótka i treściwa.

P. E. Krężelewskiemu w Solcu. Jeżeli redakcya *Fortuny* nie dotrzymała swych zobowiązań względem Pana i nie uwzględniła pańskich bardzo energicznych żądań, to cóż my w tej sprawie zrobić możemy?

OFIARY.

Dla biednych. Puchalski z Łomży, kop. 25, Biskupski z Piscowa, kop. 50, Antoni W. za wybryk dobrego humoru u p. Z., rs. 2 kop. 15, U. Rakowski z Kijowa, kop. 50, Stabrowski z Ługańska kop. 20.

Na wpis dla uczniów. Bezimiennie rs. 10, Witwicki z Werchnie Ufalejskiego Zawodu rs. 5, Głębocki z Zacisza kop. 50, Sosonko z Kozłowa rs. 2.

Dla studentów warszawskiego uniwersytetu. F. Godyński z Mineralnych Wód rs. 4 kop. 20.

Dla pogorzelców Grodna. S. Morawska z Kijowa rs. 1.

Dla polaków wydalonych z Prus. Od studentów polaków i studentek z Petersburga rs. 128 kop. 39.

Ogłoszenia.

Na Wystawę Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem, przybyły nowe obrazy: K. *Reichardta*: Grupa przy moście, Grupa dzieci, Rybaczka, Wenecyanka. L. *Horowitza* portret. W. *Gersona* portret. W. *Łosia* powrót do miasta. N. *Pané* Niepogoda na morzu. P. *Merwarta* Sen Albinki. K. *Mireckiego* portret. W. *Gościmsktego* Ojców, Wspomnienie Ojcowa, Zwaliska zamku. K. *Pillatego* Wiktor Hugo. A. *Piotrowskiego* Polowanie. J. *Fałata* Nad herbarzem. E. *Andriollego* Choć bieda to hoc! Potyczka litwinów z Krzyżakami, Strzyżów, Tu niegdyś. J. *Maleszewskiego* Typ polki. R. *Kochanowskiego* Krajobraz. Z. *Stankiewiczówny* Z pomyślnej wyprawy. Przyjaciele. T. *Dowgirda* Kwiaty na łące. W. *Gumińskiego* Droga w lesie. S. *Heymana* portret, Główka kobiety. C. *Słupskiego* Z okolic Galicyi. E. *Dukszyńskiej* Portrety chłopczyków—*Rzeźba*: J. *Godeckiego* biust ś. p. Fabiana.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem podaje do wiadomości, iż w oddzielnej sali Wystawy Towarzystwa otwartą została *czwarta Wystawa konkursowa* czasowa, złożona z trzech oddziałów: malarstwa, rzeźby i budownictwa. *Oddział Malarstwa*: *J. Ciąglińskiego*: Chrystus u sadzawki Siloe. *K. Dziekońskiej* Zakonnik. *M. Dulębianki*: Sama jedna. *W. Pawliszaka* Zdobycz. *E. Lepszego* Alarm w XVI wieku. *W. Maleckiego*: 1) Z nad Horynia; 2) Cieplarnia Hoserów. *A. Malinowskiego* Okolica w Galicyi. *J. Styki* 1) Magdałena, 2) Nowicyuszka. *R. Szwoynickiego* Dwie rozpacze. *P. Szyndlera* Ofelia. *S. Wolskiego* Dla chleba, *P. Merwarta* portret p. Alkierman. *M. Kotarbińskiego* Pod strażą aniołów. *J. Maszyńskiego* Ostatnie wieści. *Wł Szernera* Lisowczycy u przyprawy. *T. Lisiewicza*: Rycerz XVI wieku. *Oddział Rzeźby*: *J. Kryńskiego* portret hr. T. *L. Pyrowicza* Niewolnica. *J. Woydygi* Rybak. *M. Zawiejskiego* popiersie charakterystyczne. *A. Prószyńskiego* Dwa popiersia portrety. *Oddział budownictwa*: J. Hinza—projekt kościoła, R. *Padlewskiego* projekt willi. A. *Kluczewicza* wnętrze kaplicy Sobieskiego w Warszawie.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 3 Января 1885 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. **A. Świętochowski.**